Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

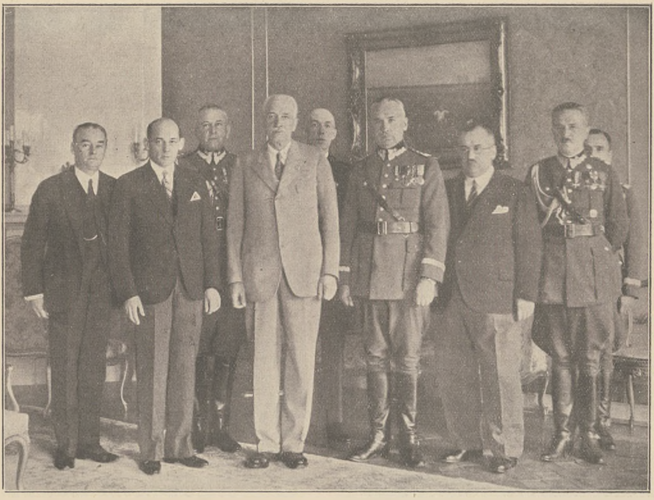
ŁOWIEC POLSKI



Pomnik z głazów, wzniesiony przez leśników spalskich z napisem: „Wskrzesicielowi tradycji św. Huberta, Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej, Prof. Ignacemu Mościckiemu—leśnicy spalskich terenów łowieckich". Grupa z Panem Prezydentem na czele po odsłonięciu pomnika.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 33 (734) 20 LISTOPADA 1933 R



Po wręczeniu Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej, prof. Ignacemu Mościckiemu najwyższego odznaczenia łowieckiego „Złomu". Od lewej stoją: inż. H. Koothe, Premjer J. Jędrzejewicz, Wiceminister Spraw Wojsk. gen. dyw. K. Fabrycy, Pan Prezydent Rzeczypospolitej, prof. Ignacy Mościcki, p. J. Dylewski, gen. dyw. K. Sosnkowski — prezes P. Z. S. Ł., Minister Rolnictwa i R. R., Nakoniecznikow-Klukowski, gen. gen. J. Gluchowski i Zamorski. Fot. W. Pikiel.

ŚWIĘTO HUBERTA W SPALE.

Panu Generałowi Kazimierzowi Fabrycemu poświęcam.

Zdawałoby się, że piętnaście lat niepodległości jest okresem czasu, wystarczającym, aby odległe i przebrzmiałe echa przeżytej niewoli stłumić, oddalić, przenieść w zapomnienie.

Zapewne, iż wszelkiego rodzaju uroczystości, obchody, jubileusze i rocznice o charakterze państwowym, dla młodszej generacji, są zjawiskiem odświętnem, ale, siłą rzeczy, nie mogą wywoływać, nawet wśród natur bardziej wrażliwych, — tych refleksyj, tych wspomnień, które w mojem pokoleniu kojarzą się z niezatartemi dotąd obrazami, przeżywanemi we wczesnej młodości, w innych warunkach politycznych.

Dla mnie podobne święta są nieustającem przypominaniem przeszłości i tego cudu zmartwychwstania, o którem myśl pobudza serce Polaka do dziękczynnego drżenia, a do oka niejedną łzę radości, obawy, troski i wzruszenia wyciska.

Cóż za bezmierne szczęście napełniłoby dusze pokoleń starszych, którym nie sądzono oglądać dni chwały, zwycięstwa i rozrostu uwielbianej przez nich Ojczyzny!

Nie mogę sobie wyobrazić np. szlachetnej głowy zgasłego przed dziesięcioma laty dziada mego, stu letniego starca, uczestnika powstania 1863 r., który znał osobiście Langiewicza, przyjaźnił się z Kononowiczem, walczył, między innymi, pod Żyrzynem, a przecież nigdy nie mógł się zdobyć na opanowanie łez i wzruszenia, ściskających gardło, gdy, przyparty do muru przez natrętnych wnuków, musiał opowiadać o „Moskalach" i „naszych".

Pamiętam, że najdrobniejsza wzmianka o uroczystościach, związanych choćby najluźniej ze wszystkiem co polskie, co swoje — wywoływała natychmiastową reakcję w formie serdecznych łez i nierozłącznego załamywania głosu.

Gdybyż danem było temu sędziwemu starcowi doczekać chwili, w której rodzony wnuk, dzięki niepowszedniej uprzejmości polskiego Wiceministra Spraw Wojskowych, znalazł się obok Niego w samochodzie, dążącym na święto myśliwych do re-

zydencji Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej — nie wyobrażam sobie wstrząsu, któregoby doznał.

I dla mnie święto Huberta w Spale nie mogło ograniczać się tylko do uroczystości myśliwych.

Już sama świadomość obecności Pana Prezydenta i przodujących w mojej ojczyźnie osobistości, jak Premjera Jędrzejewicza, Gen. Sosnkowskiego, Gen. Fabrycego, Gen. Kordjana-Zamorskiego, Gen. Głuchowskiego, Ministra Nakoniecznikow-Klukowskiego — odsuwała na dalszy plan formalny powód, dla którego znalazłem się w Spale.

Przyjechaliśmy z Panem Generałem Fabrycym około godziny 19-ej w dniu 4 listopada.

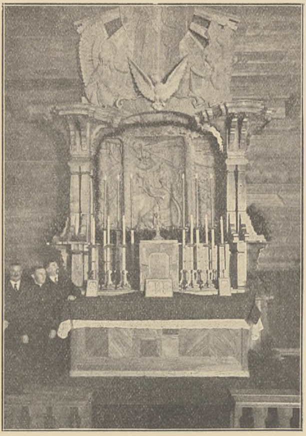
Sprawna organizacja zjazdu, obliczonego na pięciuset uczestników, i wdzięczne serce jednego z myśliwych lokują mnie wraz z sympatycznym przedstawicielem „Polski Zbrojnej" w pięknie urządzonych apartamentach na pierwszem piętrze.

Co chwila słychać podjeżdżające auta i ekwipaże konne, zwożące wszystkich, którzy mają brać udział w jutrzejszych uroczystościach.

W programie na jutro widzę: „dekorowanie Krzyżem Zasługi" i w tej chwili przypominam sobie, że przywiozłem z Warszawy „Złom", który Pan Prezydent zgodził się przyjąć, jako odznakę przeznaczoną dla Pierwszego Myśliwego Polski.

Komunikuję o tem Szefowi Kancelarji Wojskowej, p. Pułkownikowi Głogowskiemu.

„Czemuż pan tego nie mówi odrazu"? — rzuca pułkownik.



Ołtarz w kaplicy myśliwskiej Pana Prezydenta Rzeczypospolitej w Spale, ufundowany przez Związek Leśników R. P. Fot. W. Pikiel.

„A jakżeż miałem mówić, Panie Pułkowniku, gdy jestem tu zaledwie od 5-ciu minut" — odpowiadam. „Właśnie melduję, że mam".

„Niech pan pokaże, jak ten „Złom" wygląda"?

Wyjmuję i otwieram małe, w zieloną skórkę oprawne, skromne pudełeczko.

Na białem tle wnętrza i maleńkiej, zielonej rozetki błyszczy jeszcze mniejszy, a naprawdę gustowny emblemat najwyższych zasług łowieckich.

Wszystkim się podoba, bo artystycznie zaprojektowane i wykonane cacko mile bawi oko.

Wieść o odznaczeniu, które ma przyjąć Pan Prezydent, widocznie szybko rozchodzi się po gmachu. Kilku ciekawych podąża oglądać ten niezwykły znak. Chętnie pokazuję i objaśniam, czując, że w tem małem wyobrażeniu uczuć myśliwych dla Prezydenta Polski i moją część serca zaklęto.

Z myślą, co będzie jutro, — czy dopisze pogoda, od której tak wiele zależy, po miłej pogawędce, zasypiamy już dobrze po północy.

Zrana, podczas Mszy Św., odprawionej w miejscowej, skromnej, drewnianej kapliczce, proboszcz z Inowłodzia, ks. Kowalski, w obecności Pana Prezydenta, dokonał poświęcenia ślicznie wyrzeźbionego w drzewie ołtarza wyobrażającego widzenie Św. Huberta, ołtarza, ufundowanego przez Związek Leśników R. P.

Po Mszy, zakończonej zwięzłem, doskonale ilustrującem intencje myśliwskie kazaniem, wzywa mnie Generał Fabrycy do pałacu, abym, jako przedstawiciel Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, asystował podczas wręczania Panu Prezydentowi „Złomu".

Biegniemy z inż. Knothe. Już Pan Prezydent czeka. Wchodzimy szybko na piętro, gdzie w salonie zastajemy Pana Prezydenta w otoczeniu Domu Wojskowego, Premjera Jedrzejewicza, Generałów: Sosnkowskiego, Fabrycego, Zamorskiego, Głuchowskiego i Ministra Nakoniecznikow-Klukowskiego.

Krótkie przemówienie Prezesa, Generała Sosnkowskiego, skierowane do Pana Prezydenta, poprzedziło moment wręczenia „Złomu", który odrazu przypina Głowie Państwa Pułkownik Głogowski.

Podczas fotografji, mającej uwiecznić ten zaszczytny i niezwykły dla myśliwych polskich moment, przekonałem się, że generalski mundur nie zdobi wyłącznie wybitnych zdolności intelektu, ale i wielkie serce.

Jedno nieznaczne, a tyle znaczące, tak proste, jak żołnierska dusza, bezceremonjalne, że wprost nazwę serdeczne pociągnięcie za rękaw „maluczkiego" i postawienie przed objektywem w miejscu równorzędnem ze sobą, — ta jedna chwila, pełna wymownej subtelności, wystarczyła, by myśliwskie serce zdobyć, całkowicie niem owładnąć i w zaszczytną a miłą niewolę pogrążyć.

Więc święto patrona łowców zamieniło się dla mnie w święto serca — najcudniejszego klejnotu ludzkości. Dla myśliwego pozostały programowe uroczystości.

Zaraz po przyjęciu „Złomu", Pan Prezydent wychodzi z pałacu i asystuje przy dekorowaniu działaczy łowieckich „Krzyżem Zasługi".

Z nazwisk znanych szerokim rzeszom czytelników „Łowca Polskiego" dwa zostały odznaczone: inż. Knothego i Włodzimierza Korsaka.

Po ceremonji dekorowania, którego dokonywali: Minister Rolnictwa i Dyrektor Loret, przechodzimy wszyscy do t. z. Grzybka, uroczego zakątka nad toczącą w dole swe wody Pilicą.

Tu, w obecności Pana Prezydenta, nastąpiło odsłonięcie monumentalnego pomnika z głazów, pochodzących z różnych części kraju. Na tablicy widnieje napis: „Wskrzesicielowi tradycji Św. Huberta, Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej, Prof. Ignacemu Mościckiemu — leśnicy spalskich terenów łowieckich".

A potem nastąpiły popisy celności strzałów kulowych — do baloników i śrutowych — do rzutków.

O godzinie 14-ej Pan Prezydent podejmował obiadem wszystkich zebranych leśników i myśliwych, a później powracaliśmy do szarych trosk codziennego życia, uwożąc niezatarte wspomnienia doznanych w Spale wrażeń.

W drodze rozmyślałem o... ludziach wielkiego serca.

JERZY DYLEWSKI.

PRZECIWKO ZŁEJ BELETRYSTYCE.

W N-rze 21 „Łowca", wydawanego przez Małopolskie Towarzystwo Łowieckie, zamieszczony został artykuł p. Leopolda Pac-Pomarnackiego p. t. „W obronie beletrystyki łowieckiej".

Odczytawszy tytuł tego wystąpienia w obronie literatury pięknej, traktującej o łowiectwie i z niego czerpiącej swe natchnienie, musiałem z konieczności zadać sobie pytanie, przed kim to, lub przed czem p. Pac-Pomarnacki usiłuje bronić napadniętej, skrzywdzonej, czy też zapoznanej chociażby beletrystyki łowieckiej?

Jakkolwiek interesuje mnie żywo wszelki ruch piśmienniczy z łowiectwem związany i staram się poznać wszystko, co doba najnowsza przynosi, nie mogłem odgadnąć, co wywołało rozwinięcie defenzywnego frontu pod piórem autora zacytowanego artykułu.

Dopiero doczytanie się w drugiej jego połowie tęgiego pocisku, wymierzonego w stronę „Łowca Polskiego", a rekoszetem godzącego również w wileńskie „Trąbki Myśliwskie", wyjaśniło odrazu właściwe oblicze „obrony" i jej cel.

Pozwalam sobie przytoczyć tu w całości nie obronę, głównie tylko w samym tytule widoczną, lecz właściwy cel, zawarty w treści — akt oskarżenia.

„Tymczasem w roku bieżącym prasowe organy łowieckie w Polsce, z wyjątkiem „Łowca" lwowskiego, ogłosiły z niezrozumiałych dla mnie powodów jakiś cichy bojkot wszelkich impresyj literackich. Redakcje zarówno „Łowca Polskiego", jak i częściowo „Trąbek" wileńskich zdają się zapominać o znaczeniu tego rodzaju artykułów, nie umieszczając nic z tej dziedziny. Naczelny organ łowiectwa, jak nazywa w jednym z artykułów p. W. Zabiełło „Łowiec Polski", od dłuższego już czasu ignoruje literaturę piękną na korzyść kinologji i balistyki, chociaż obie te dziedziny posiadają specjalne, fachowe czasopisma, zaś „Łowiec Polski" musi być pismem wszechstronnem — organem całej rzeszy przeciętnych myśliwych, których wszelkie „field-trialsy" zbytnio nie obchodzą. Błąd ten, wobec stałego podnoszenia się ogólnego poziomu tego pisma, jest nie do darowania. Podobnego postępowania nie da się wytłumaczyć brakiem miejsca, lub może materjału".

Sformułowanie jasne, wyraźne, ale czyż zarzut istotnie jest sprawiedliwy? Czyż nie nosi on wszelkich cech z lekkiem sercem rzuconej insynuacji?

Zarzut bowiem postawiony jest mocno i bezwzględnie: — „Łowiec Polski" ignoruje literaturę piękną.

Ignoruje, ponieważ nie drukuje od dłuższego czasu (to nie jest ścisłe spostrzeżenie) utworów beletrystycznych... Ależ czemu w takim razie nie wskazuje p. Pac-Pomarnacki nazwisk autorów, zapoznanych przez redakcję „Łowca Polskiego", nie wymienia dzieł pod postacią krótkich nowel, obrazków, wspomnień myśliwskich, będących „skarbnicą wrażeń artystycznych i kopalnią klejnotów mowy i stylu", zarazem zaś „niezastąpionym środkiem propagandy i dydaktyki?". I które z utworów (i gdzie one są, komu były składane do oceny i rozporządzenia) tej „plejady młodszych autorów, wyrosłych z posiewu trzech potentatów beletrystyki łowieckiej" (Weyssenhoffa, Zaborowskiego i Korsaka), zdaniem p. Pac-Pomarnackiego zasługują na miano artystycznych, na porównanie do kopalni klejnotów mowy i stylu, na przypisywanie im wartości propagandowych i dydaktycznych?

Bowiem utwory wymienionych przez niego trzech potentatów beletrystyki łowieckiej z o s t a ł y j u ż k i e d y ś w y d r u k o w a n e. I—Ejsmonda również, i szeregu innych. A te, które dopiero zostaną napisane, z pewnością b ę d ą w y d r u k o w a n e. Czy wiele z tych utworów otrzymają do rozporządzenia pisma łowieckie, trudno to przewidzieć, nie mogąc zajrzeć do atutów ich autorów co do sposobu ich wygrania, t. j. możności i chęci oraz wybór drogi rozpowszechniania swych dzieł i prac.

Pan Pac-Pomarnacki nawiasowo nadmienia, że „Łowiec Polski" nazwałem w jednym z moich artykułów naczelnym organem łowiectwa. Nie wiem, czy go to razi, lub nawet może gorszy, fakt jednak, że to jedynie był łaskaw przytoczyć z moich ogólnych refleksyj na temat, jakim powinien być naczelny organ łowiectwa. Szkoda, że to jedynie zeń zapamiętał, że pomija zdanie, odnoszące się właśnie do literatury pięknej. Niech mi wybaczy, że pozwolę sobie je dziś powtórnie zacytować dla scharakteryzowania mego poglądu na drukowanie utworów beletrystycznych w czasopismach łowieckich.

„Wreszcie bardzo ważną rolę—na łamach dobrze prowadzonego organu łowieckiego (przypisek nowy, bliżej wyjaśniający sens) — odgrywa dział literacki. I tu nie wolno schodzić do prymitywu, nie wolno rzucać ziarna z plewami".

Sądzę, że takie wyznanie wiary nie dotyka w niczem znaczenia i posłannictwa, jakie p. Pac-Pomarnacki chce — i słusznie — widzieć w drukowanych utworach beletrystycznych na łamach pism łowieckich, natomiast jedynie wzmacnia wyrażone przez niego życzenie, gdyż zastrzega się przed plewami, jakich pełno unosi się w pobliżu omłotu drogocennego ziarna, rodzącego się na żyznej glebie ducha prawdziwych, lecz, niestety, nielicznych artystów w tym zakresie i zarazem wybitnych myśliwych.

Publikowanie miernot, a choćby przeciętności w dziale literackim nie wzmocni i nie zastąpi głównej i tak istotnej, pożądanej roli dydaktycznego, ani propagandowego oddziaływania na drodze kulturalnego rozwoju łowiectwa, przeciwnie, wypaczy ją, a czytelnika *a la longue* znacznie więcej znuży i wyczerpie, niżeli szereg, a nawet, jak chce p. Pac-Pomarnacki, przerost liczby artykułów zupełnie fachowych, rzeczowych i poważnie zakrojonych.

Uznaję całkowicie potrzebę beletrystyki, oceniam jej zasadnicze walory poczytności, jej wartość wypoczynkowo-rozrywkową dla umysłu przeciętnego czytelnika, jednak nie przestanę twierdzić, że pismo fachowe, łowieckie nie powinno nigdy iść po linji zbeletryzowania swego oblicza w wyłącznem dążeniu do spopularyzowania swej poczytności, natomiast, wprost przeciwnie, winno zużyć wszystkie swe siły i możliwości na wychowanie i urobienie swego czytelnika, dając mu przedewszystkiem jak najwięcej wiadomości fachowych, zaspakajających jego istotne potrzeby łowieckie, oraz rozstrzygnięć wątpliwości w dziedzinach z wykonywaniem łowiectwa związanych i te starając się popularyzować najbardziej umiejętnie.

Niestety, nie mogę uwierzyć, aby „plejada" obecnych łowieckich autorów beletrystycznych mogła pokusić się o zadanie stałego „podawania popularnego i zajmującego poważnych nieraz (?) zagadnień, wplatając je umiejętnie w powieść lub nowele". To może się zdarzyć bardzo rzadko, zupełnie sporadycznie i z takiego utworu literackiego, jak również z utworów czysto artystycznych, błyskających świetnością talentów, a chociażby tylko opisowych zdolności myśliwskich — każda redakcja z całą skwapliwością, w miarę swych sił finansowych, skorzysta.

Jestem przekonany, że z wieloma mojemi wywodami na powyższy temat (dziś i w artykule: „Jakim być powinien naczelny organ łowiectwa", Ł. P. Nr. 27 z dn. 20.IX. 1933) redakcja reprezentowanego i przezemnie „Łowca Polskiego" solidaryzuje się w zupeł-

ności, a nie wątpię, że są one jasne i zrozumiałe dla większości czytelników-myśliwych.

Skąd jednakże p. Pac-Pomarnacki usnuł bojkotowanie utworów beletrystycznych przez pisma łowieckie, w szczególności przez „Łowiec Polski", z wyjątkiem „Łowca" małopolskiego, przyznaję się, nie potrafię dociec. Dodam tylko — chociaż p. Pac-Pomarnacki zgóry zastrzega się przeciw temu, odrzucając takie usprawiedliwienie jako nieistotne — że na ośmiu kolumnach druku, jakie stanowiły poza ogłoszeniami podczas całego roku właściwą objętość treści „Łowca Polskiego", trudno byłoby, nawet tak rozumując, jak tego chce p. Pac-Pomarnacki, a bez wyraźnego obniżenia poziomu samego pisma, drukować w każdym zeszycie coś z beletrystyki, pamiętając o tem, że chodzi właśnie o utwory celne i wybrane, a nie o „wypociny różnych pseudo-pisarzy łowieckich" i nie o zapełnienie jedynie beletrystyką szpalt w imię jakiegoś szablonu pseudo-zbawiennego sposobu redagowania czasopisma.



Strzelanie popisowe na uroczystości św. Huberta w Spale, urządzone przez Pana Prezydenta Rzplitej dla zgromadzonych leśników. Fot. W. Pikiel.

...A już najmniejszy kącik i najdalszy możnaby godzić się poświęcać... słabostkom ludzkim... (wyjątek z cytowanego już wyżej mego artykułu z N-ru 27 Ł. P.). I to pod każdym względem: czy będzie chodzić o „mego pierwszego głuszca" etc., czy o „moje najmilsze trofeum" i t. p. pod postacią noweli, opisu, czy fotografji. Niestety, jeszcze czasem trzeba...

Do zasadniczego znaczenia beletrystyki łowieckiej, jako środka propagandowego i dydaktycznego, o artystycznych cechach lektury wypoczynkowo-rozrywkowej, p. Pac-Pomarnacki dodaje coś jeszcze, powiedziałbym — na własną odpowiedzialność. Pragnie bowiem, aby te utwory budziły i powoływały do stanu aktywności „noszony przez wszystkich we krwi atawistyczny pociąg do łowiectwa", lub zarzuconą w pewnych okolicznościach pasję.

Śmiem tu być krańcowo odmiennego zdania. Pasja łowiecka to dar z bożej łaski, wyraźnie zaznaczona, samowładna świątynia powołania, z którą człowiek się rodzi i niema architekta, któryby, działając zewnątrz, kamień węgielny pod taką świątynię był w stanie położyć. Czy budowa ta w poszczególnej duszy myśliwskiej posiadła kształt olbrzymi, imponujący, gmach w wielkim stylu, z murów którego rozlegają się wspaniałe tony śpiewanych hymnów chwały, czy tylko skromnej, szarej kapliczki, szeptem cichej lecz żarliwej modlitwy wypełnionej, to w każdym wypadku zależy od indywidualnych warunków, okoliczności, a nieraz od możliwości materjalnych danego wyznawcy.

Pozatem uważam za konieczne dodać, że jeśliby taki wpływ miała wywoływać beletrystyka łowiecka na członków społeczeństwa, nie interesujących się samorzutnie myślistwem, że rozszerzałyby się ciągle zastępy strzelających zwierzynę, to lepiejby zaniechać zupełnie drukowania tej beletrystyki.

Czyż powinno nam bowiem zależeć na tem, aby ustawicznie powiększać szeregi polujących? Uważam, że te kilkadziesiąt tysięcy oficjalnie zdeklarowanych myśliwych polskich wystarczają w zupełności, ażeby mógł nastąpić pożądany rozkwit naszego łowiectwa. A przyzna chyba każdy, że pierwszym warunkiem do tego jest dobre zorganizowanie istniejących kadr, podniesienie w nich poziomu kultury łowieckiej, wpojenie w nie całkowitego zrozumienia ideowego, a także gospodarczego znaczenia łowiectwa. Wpływanie na powiększenie tych kadr jakąkolwiek drogą byłoby conajmniej lekkomyślnością i wytworzyć musiałoby dziś jeszcze większy chaos, jaki cechuje, niestety, dotychczas niezorganizowane łowiectwo polskie w dobie ustawicznego kształtowania się odrodzonego państwa naszego.

Na zakończenie pozwalam sobie wyrazić głębokie przekonanie, że „kluczem do serc upartych grzeszników" („myśliwych", ignorujących zasady prawidłowego łowiectwa) jest przedewszystkiem otworzenie ich oczu i spopularyzowanie tych idei, które winny być w każdym myśliwym dominujące. Czego nie dokonają najgorętsze usiłowania tak czy inaczej redagowenej prasy łowieckiej, tego winny dopiąć wzajemne stosunki myśliwych: szczepienie zmysłu organizacyjnego, kultywowanie rzetelnego ducha łowieckiego, wpajanie zasad etyki łowieckiej. A życie niesie w tym kierunku daleko więcej sposobności od propagandy na piśmie, w taki czy inny sposób pomyślanej i ujętej w formę popularnego artykułu, lub beletrystycznego utworu.

Ta metoda, mojem zdaniem, przynieść może najobfitsze owoce, należy tylko to zadanie zrozumieć i tem pragnieniem przepoić całą swą działalność łowiecką osobistą, nie zrażając się żadnemi przeciwnościami na drodze tak zrozumianego posłannictwa.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

ALEXANDER WIELOPOLSKI.

BIGOS MYŚLIWSKI.

Najwykwintniejszy kuchmistrz nie jest w stanie stale karmić swych stołowników wspaniałym combrem, pulardą i tucznym indykiem, ani także lodami ananasowemi i brzoskwiniami Melba, lecz musi się uciekać do potraw prostych, częstokroć popularnych. Mało myśliwych zgodziłoby się odbyć szereg polowań jesiennych i zimowych, nie zakosztowawszy kilkakrotnie bigosu, zwanego „myśliwskim".

Prasa łowiecka też nie może podawać artykułów li tylko ściśle fachowych, naukowych, hodowlanych, o treści wyraźnie dydaktycznej i musi swe łamy otwierać także i „bigosowi".

Mickiewicz powiada, że kapusta okrywa „łonem wilgotnem cząstki najlepsze mięsiwa". Tak nasz poeta chwali bigos. Dziś bigos przygotowuje się często nie z wyszukanych części, lecz z różnych resztek i robi się z niego tak znienawidzony na pensjach, stancjach i w tym podobnych instytucjach „przegląd tygodniowy".

Mój „bigos" też nie będzie miał za podstawę „wyszukanych części najlepszych mięsiwa", natomiast wrzucę do kapusty groch, co gorzej — bobik, i nie będę się czuł obrażonym, jeśli go czytelnik nazwie „grochem z kapustą".

Ridendo castigare mores. I taki groch z kapustą ma na celu zwrócenie uwagi naszej braci z pod znaku

św. Huberta na dodatnie i ujemne czyny i zwyczaje; wszak prasa łowiecka ma dużą odpowiedzialność i poważne zadanie krzewienia etyki myśliwskiej.

Sądzę, że Redakcja „Łowca Polskiego" była uprawniona, a może nawet obowiązana, uczynić uwagę przy sprawozdaniu p. „Edema" Nr. 6 (710) „Łowca Polskiego", str. 71, że warchlaków nie dobija się kijami i że do tego służy kordelas. Redakcje pism łowieckich winny bacznie zracać uwagę na wszelkie wynurzenia z etyką myśliwską niezgodne — pobłażliwość złym jest pedagogiem.

Niema przyczyny, by myśliwy gardził „formami" w życiu łowieckiem, gdy obserwuje „formy" w życiu towarzyskiem i prywatnem. Jak się nie chodzi na bal w kurteczce, lecz nakłada frak, nie powinien myśliwy z pod czapeczki (nie mówię o zimie i czapce futrzanej) strzelać do grubego zwierza. Na walnych polowaniach w Czechach, dawniejszemi czasy niewolno było występować inaczej, jak w butach z cholewami, a na audjencje do ministrów chodziło się we fraku. Czasy się zmieniły, ciemna kurtka wystarcza i buty też przestały być obowiązkowe, ale czapeczka — to odpowiedni ubiór głowy dla cyklistów, a można ją też przyodziać na *tir aux pigeons*.

Zwierzynie należy się pewien szacunek, który i w zewnętrznej formie ubioru się odzwierciadla; na polowaniu na grubego zwierza kordelas bezwarunkowo powinien znajdować się u boku myśliwego i straży leśnej. Formy zewnętrzne to nietylko czcza błahość, ale pewne utrzymanie w karbach zalet wewnętrznych i tradycji. *„Je m'en fichisme"* nie bywał nigdy cechą dobrego wychowania. — A jakażby mogła być przyczyna, by myśliwy nie był dobrze wychowanym i jako myśliwy i jako człowiek?

Bywa, że gospodarz zasadniczo zaprasza na łowy, a we właściwym terminie omieszka zaproszenie skonkretyzować. Zdaje mu się zapewne, że tym sposobem grzeczność wyrządził — myślę, że wręcz przeciwnie. Nazwałbym takie postępowanie bardzo niegrzecznem. Dobrze i pożytecznie jest natomiast zawczasu gości zaprosić, by wiedzieć, jaki się będzie miało skład strzelających, i w razie odmowy módz go uzupełnić. Odpowiedź na takie zaproszenie winna być odwrotna i stanowcza, w razie niepewności nawet odmowna, której się *bar accident* przytrzymywać należy. Wolę rozstawianie lub wyznaczanie zgóry stanowisk, albo miejsc w ławie lub kotle od losowania, szczególnie jeżeli gospodarz niektórym gościom podsuwa losy, co też mi się widzieć zdarzało. Należy mieć na uwadze, że gospodarzowi słusznie może chodzić o ogólny rozkład, a że także może mieć na względzie okoliczności i trudności terenu, lecz poco to okrywać płaszczykiem losowania. Zbyteczne chyba dodawać, że pod żadnym pozorem na polowania wpraszać się nie należy.

Różne bywają kategorje myśliwych, lecz pomimo znacznych różnic w zapatrywaniu na polowanie i na wymagania łowieckie niema podstawy, by jedni drugimi gardzili, lub jedni drugim wytykali ich upodobania, o ile zasady etyki są zachowane. Zazdrość w żadnej postaci nie jest dodatnią cechą ludzkości.

Obwoływanie króla polowania nie jest sprawiedliwym objawem. Już kiedyś wygłosiłem zdanie, że myśliwy, któremu się najwięcej poszczęściło, czy dzięki celności strzałów i umiejętności polowania, czy dzięki ślepemu szczęściu, został najobfitszym rozkładem wynagrodzony. Poco to wytykać gorzej strzelającym, lub mniej faworyzowanym przez boginię „Dianę" towarzyszom?

A spotykałem takich panów, którzy woleli mieć mały rozkład, aby największy, niż cieszyć się pokaźną ilością upolowanego zwierza, jeżeli towarzysze więcej zabili. Tracili nawet humor i smutni siadali do stołu.

Prowadzi to czasem wprost do śmiesznostek: zdarzyło mi się zabić koguta bażanta, gospodarz równocześnie zabił niedozwoloną kurę i zawołał do mnie po chwili: „Mój kogut jest — Twojej kury nie znaleziono". W kotle szedłem obok znanego w swym czasie myśliwego. (Panie świeć nad duszami jednego i drugiego), zające były składane na saneczki, podążające za nami. Przy końcu mój sąsiad miał dwoje sanek z zającami, ja ani sanek, ani zajęcy. Za młodu gniewały mnie takie zdarzenia i martwiły, dziś tylko śmieszą.

Znakomity strzelec, ś. p. Arcyxiąże Franciszek Ferdynand, częstokroć podobno nie podchodził do zabitego z podjazdu kozła, a zaproszony na rysie, miał się zapytać, ile ich może zabić w każdym miocie. Niedieck spędził kilka lat poza krajem, by upolować nieliczne okazy wyborowej zwierzyny. Znajomy mój upolował lwa, który ciągnął za sobą żelaza na łańcuchu i do trofeów go zaliczył. Inny, dowiedziawszy się, że magistrat postanowił sprzedać niedźwiedzia w jamie na placu miasta, nabył prawo zastrzelenia biednego misia, który potem zdobił jego sień.



Żerujące stado.

Zabawne utkwiło w mej pamięci zdarzenie: podjazd na kozła. Długo sarny nie pokazywały się, gospodarza to denerwowało; by go uspokoić, za jego oczami, znakomicie strzelający gość rozmyślnie zgórował kozę i do pudła się przyznał". Nie może to być, rzekł gospodarz do leśniczego. Pan X. nie chybia, trzeba kozła szukać". Nazajutrz rano gość został zbudzony wiadomością: „Mówiłem Ci, żeś trafił, bardzo ładnego kozła — z komorową kulą, przyniósł leśniczy". Nie wiem czy sprawdzono kaliber.

Są myśliwi i są strzelcy — można być myśliwym, a broni do ręki nie brać i naodwrót, strzelać dużo i znakomicie, a nie zasługiwać bynajmniej na zaszczytne miano myśliwego. Z pogardą niektórzy odzywają się o łowach, na których pokoty liczy się na setki i więcej. Oczywiście, jest to raczej strzelanie, niż polowanie; myślistwo tylko w organizacjach takich łowów się uwydatnia. Anglicy też takie polowania nazywają *schooting*, a nie rachują zdobyczy poszczególnych uczestników, tylko ogólny rezultat.

Kary pieniężne za wykroczenia przeciw przepisom i zwyczajom łowieckim, które jednak przez każdego noszącego broń palną winny być automatycznie przestrzegane, zapewne w towarzystwach łowieckich są nieuniknionem złem. Uważam za zupełnie niestosowne uciekanie się do tego środka na prywatnych polowaniach. Jedyną właściwą karą jest niezaproszenie ponowne gościa, który nie umie zachować się właściwie.

Słyszałem jeszcze jako młody chłopiec, że gdzieś, zdaje się w Wielkopolsce, gospodarz ustanowił karę pieniężną za zabicie kury bażanciej. Jeden z uczestników strzelał, oczywiście rozmyślnie, wyłącznie do kur i odpowiednią ilość talarów wyjął z pugilaresu.

Przygodnie spotkany w wagonie, znany właściciel łowów na kozice, mówił mi, że w jego łowiskach jest ustanowiona kara 25 guldenów (jeszcze dawne więc dzieje) za zabicie kozy, prowadzącej koźlę, a gdym mu opowiedział powyższą przygodę z kurami bażanciemi, orzekł z oburzeniem, że takiego gościa powtórnie nie proszonoby na polowanie. Odparłem mu z młodzieńczą zuchwałością: „Ale i panaby u nas nikt na polowanie nie zapraszał".

I takiego miałem gościa, który wystrzelił naganiaczowi oko w chwili, gdy dwie kuropatwy z mego dubleta między nami spadły. Na rozkładzie miałem oko naganiacza, a on kuropatwy.

Myśliwi częstokroć niedość zwracają uwagi, by, idąc z jednego stanowiska na drugie, nie wyprzedzać gospodarza, lub prowadzącego polowanie, lub nie zadaleko za nim pozostawać i zmuszać go do czekania, lub nawoływania. Do rygoru myśliwskiego należy zwracanie uwagi na tę okoliczność. Przy pędzeniach na kuropatwy i bażanty lepiej zachowywać się cicho, choćby się było otoczonym gronem nadobnych pań; ptaszki na konwersację są równie czułe, jak panie, ale nie asystują przy herbatce i kolacji, na którą to chwilę flirt odłożyć można.

Niepotrzebne jest „pontyfikowanie" na polowaniu, jak wszelka przesada, ale pewna doza karności i stosowanie się do jej wymagań będą cechowały dobrego myśliwego.

Umundurowanie straży, a także wyższych jej organów, często przez nich pogardliwie przyjmowane, jako poniżające osobistą godność — wolą wyglądać jak sklepikarze, nie umiejąc rozróżnić munduru łowieckiego od liberji służby domowej — jest bardzo wskazane, taksamo dla autorytetu względem podwładnych i ludności — czy to w nagance, czy w czasie pełnienia służby leśnej i myśliwskiej. Na polowaniu dobrze jest widzieć i wiedzieć do kogo się w danym wypadku zwracać należy.

Osobiście wysoko cenię myślistwo i lubię strzelanie. Lubię nawet strzelać do marnego królika, który tak niezasłużenie nosi tytuł zwierzyny, ale i nie każdy tytuł rodowy polega na zasługach przodków. Ponieważ lubię strzelać, musiałem sobie trochę na strzelanie pozwolić. Nie celowałem do myśliwych i nie myślę, żeby moja kula dosięgła ich komory, puściłem cieńki śrut, by zagwizdał koło uszów takich panów, którzy uczęszczają na łowy i sądzą, że przez sam fakt przewieszenia przez ramię „flinty", lub „dubeltówki" mają prawo do zaszczytnej nazwy „myśliwych"?

JARZĄBEK

(MONOGRAFJA PRZYRODNICZO-MYŚLIWSKA).

Panu Włodzimierzowi Korsakowi pracę tę poświęcam.

Jarząbek, *Tetrastes bonasia* (Linn) należy do rodziny głuszcowatych *(Tetraonidae)* do rzędu kurowatych *(Galliformes)*. Pod nazwą jarząbek rozumie się zarówno samca, jak samicę. Jest to ptak niezbyt duży, cokolwiek przewyższający wielkością kuropatwę pospolitą. Waga dorosłego koguta waha się pomiędzy 380 i 400 gr., kury — 360 i 380 gr.

Opierzenie

(według Taczanowskiego.)

„Z wierzchu szary, brunatno-rdzawo-biało-pstry, od spodu biały, czarno plamisty; u samca czarne podgardle.

Dziób czarny, palce i część nieupierzona skoku rogowo-brunatne; tęcza brunatna, na wierzchu głowy podługowate piórka tworzą czubek, dowolnie podnoszony; czerwona, naga, nadoczna smuga wąska.

Stary samiec ma wierzch głowy rdzawo szary, brunatno gęsto pręgowany, kark i środek pleców szaro-popielaty z brunatno-czarniawemi, poprzecznemi prążkami, niższą część grzbietu, kuper i pokrywy nadogonowe popielate subtelnie i mało znacznie, ciemniej popylone; pióra łopatkowe rdzawo szare i rudawo plamiste z szeregiem na pierwszych grubych białych plam; na pokrywach skrzydłowych, szaro i brunatno plamistych, gęste białe pędzelki; pod okiem biała plama księżycowata, za okiem podłużna i także szeroka smuga, otaczająca czarne podgardle, zaczynająca się za nozdrzami i połączona na przodzie szyi; wpoprzek boków szyi szeroki, biały pasek, na boki pleców zachodzący; przód szyi rudawy czarno i biało, grubo łuskowany, reszta spodu biała, grubemi plamami czarnemi posypana, w których środku znajdują się białe oczka; pióra boczne mniej więcej rdzawo biało zakończone, z czarnym prążkiem między temi dwoma kolorami; pokrywy podogonowe rudawo-szare, czarno popylone, biało kończyste, z podobną czarną przegródką; lotki ciemno brunatne ze skrajnemi stosinami białawemi, brunatno w odstępach regularnych znaczonemi i końcami rudawo poprószonemi; sterówki popielate, rudawo mniej więcej pociągnięte, subtelnie czarniawo poprószone, z szeroką, czarną, podkońcową pręgą, nie zajmującą czterech środkowych; same końce jaśniejsze, mniej poprószone, upierzenie skoków białawo-szare, u niektórych przód szyi mocno rdzawy z drobnemi, białemi plamkami i mało znacznemi czarnemi, poprzecznemi kreskami i boki ciała przeważnie rdzawe.

Samica, mało mniejsza, różni się w ubarwieniu brakiem czarnego koloru na podgardlu, które jest płowo białe, brunatno, drobno plamkowane i otoczone rzędem białawych plam w miejscu białej, ciągłej opaski; białe plamy za i pod okiem mniej częste i mniej wyraźne: na plecach więcej rudo-szarawych grubsze, czarniawe plamy; na pokrywach skrzydłowych mniej koloru rdzawego, a więcej czarniawego. Plamy na piórach łopatkowych i pokrywach skrzydłowych płowe, w miejscu białych (u samca); mniejsza i mniej odznaczona smuga na bokach szyi; na spodzie ciała mniej regularne, czarniawe plamy, na środku brzucha białymi końcówkami stłumione; czarność dzioba bledsza i węższa czerwona smuga nadoczna.

Młode w pierwszem pierzu podobne do samicy, dziób mają brunatno-rogowo-blady, nogi cieliste; na karku i plecach tło szaro-rudawo-płowe i czarniawo upstrzone; niższa część grzbietu rudawo-szara, nieznacznie ciemniej upstrzona; podgardle i spód białawy, na szyi rudawo zafarbowanej brunatne plamkowanie, na piersiach tylko blado-brunatne plamy gdzieniegdzie przeglądają; na piórach barkowych brunatno-rdzawych czarne plamy i długie płowe smużki, w miejscu szeregu białych plam; sterówki szaro rudawo pociągnięte i brunatno popylone, bez ciemnego, końcowego pasa; po pierwszem wypierzeniu się obie płcie przybierają doskonałe odzieże".

Wymiary (według Taczanowskiego):

Długość	całkowita	392	365	—
„	ciągu	520	508	—
„	ogona	123	120	110
„	skrzydła złożonego	166	164	163
„	dzioba od kąta ust	24	24	22
„	dzioba od nozdży	10.5	10.5	10
„	skoku	35	35	34
„	palca środkowego	33	32	30
„	pazura	10	9	9
„	kciuka	7	7	7

Nazwy obce.

W obcych językach i narzeczach jarząbek nosi następujące nazwy: po czesku: *jerabek;* po niemiecku: *haselhan* (huhn), po angielsku: *hasel-hen, hasel-grusse,* po francusku: *gelinotte des bois,* po norwesku: *jaerpe,* po szwedzku: *hierpe,* po rosyjsku: *riabczik,* po łotewsku: *mescha irbe,* po fińsku: *tawalinnen pyy,* po litewsku: *jerubes,* po białorusku: *riabiec,* po małorosyjsku: *horabok.*

Rozpowszechnienie.

Jarząbek jest znany prawie w całej Europie, od Pirenejów poczynając i kończąc na Szwecji, Norwegji i półn. Rosji, oraz w dużej części Azji, nie jest jednak na całej tej przestrzeni jednakowo liczny. W niektórych miejscowościach jest jarząbków dużo, w innych mniej, a w innych jeszcze, gdzie warunki miejscowe im nie odpowiadają, niema ich wcale. Niema ich na wyspach W. Brytanji i Irlandji, w Szwecji pospolity, dość liczny w Norwegji, mniej go w Niemczech. Pospolity w Alpach szwajcarskich, tyrolskich i włoskich, więcej go jednak w Styrji i Krainie. W Azji znany jest jarząbek aż po kraj Amurski i Mandżurję, półn. Chiny i Japonję, gdzie w niektórych miejscowościach występuje w bardzo znacznych ilościach. Niema go na półwyspie Czukczów i na Kamczatce, liczny jest zato bardzo na Sachalinie.

W Polsce jarząbki zamieszkują w znacznej liczbie Karpaty, Tatry i ich podgórza. Mniej liczne są na Wołyniu, Polesiu i Wileńszczyźnie, rzadkie zaś w Kongresówce, na Pomorzu i na Górnym Śląsku. W Poznańskiem, według posiadanych przezemnie wiadomości, niema ich wcale.



Wabiarz łosi z ordynacji dawidgródeckiej.
Fot. kpt. J. W. Kobylański.

Życie jarząbka.

Jarząbek jest ptakiem wyłącznie leśnym. Na polu można go spotkać, lecz tylko w bardzo rzadkich wypadkach. W okolicach, gdzie jest mało jastrzębi, wylatuje on czasami jesienią na polanki leśne, zasiane zbożem, lecz nigdy nie oddala się od lasu ponad 80 — 100 kroków. Zwykle unika nawet małych przestrzeni niezalesionych.

Jarząbki zamieszkują naogół lasy świerkowe i mięszane, można je spotkać zarówno w czysto świerkowych lasach, jak w gęstych zagajnikach mięszanych, gdzie rosną lipy, jarzębina, wszelkiego rodzaju krzewy, jak malina, jeżyny i tym podobne; lubią również przebywać w olchowych lasach, po brzegach strumieni leśnych i leszczynowych, podszytych paprocią. W sosnowych borach zdarza się je widzieć wiosną w godzinach rannych, lecz tylko w pobliżu ich stałych siedzib. Miewa to miejsce też na jesień, gdy dojrzewają borówki: wówczas wylatują jarząbki dość daleko w lasy sosnowe, gdyż te jagody są dla nich nielada przysmakiem, zdarza się też, że wędrują o tej porze roku na mszary, obfitujące w żórawiny, nigdy jednak nie oddalają się od swych stałych siedzib dalej, jak na odległość pół do trzech czwartych kilometra.

Jarząbek jest zasadniczo ptakiem równin, góry nie mogą być uważane za jego ojczyznę, choć często spotyka się go tam w większych ilościach, lecz tylko do 1500 metrów nad poziomem morza. Może zalatuje czasami na wyższe szczyty, jednak nie gnieździ się tam, ani długo nie przebywa. Górskie jarząbki są naogół nieco większe od równinnych i znacznie mniej płochliwe, co łatwo zresztą się tłumaczy, ponieważ w górach więcej jest miejsc trudno dostępnych i tam zażywają one większego spokoju.

Podczas zimy zamieszkują jarząbki mniej lub więcej wysokopienne lasy świerkowe i mięszane, najczęściej takie, w których dominują brzoza, olcha, leszczyna i osika, lubią też bardzo przebywać w starodrzewiach olchowych, po brzegach strumieni leśnych. Za pokarm służą im o tej porze pączki wspomnianych wyżej drzew, jakoteż kotki leszczyny, a czasami nawet igliwie sosnowe, te jednak spożywają jarząbki tylko wówczas, gdy im bieda bardzo dokuczy. Większą część dnia w zimie spędzają jarząbki na ziemi, w silne mrozy ponad 15 stopni C., zakopują się w śniegu, lub też chronią się gdzieś pod nawisłemi gałęziami świerku. Niektórzy autorowie, jak naprzykład Neuman, twierdzą, że jarząbki poszukują pod śniegiem pożywienia, drążąc głębokie korytarze, lecz jest to twierdzenie mylne, przynajmniej co się tyczy jarząbków kresowych, to jest zamieszkujących Wileńszczyznę i Polesie.

W godzinach rannych i pod wieczór siadają na drzewa, by żerować, w ciągu dnia też można je tam spotykać, przeważnie na świerkach, lecz tylko w ciepłą, bezwietrzną i pochmurną pogodę.

W ciepłą pogodę, lub w lekki mróz, spędzają noce w gęstwinie niskich świerczków, w wielkie zaś mrozy zakopują się w śniegu.

W przeciwieństwie do głuszców i cietrzewi, żyją one podczas zimy pojedyńczo lub parami, przyczem każda para, lub pojedyncza sztuka, trzyma się w jednem miejscu na przestrzeni do pół hektara, lub nawet mniej, skąd największy hałas nie jest w stanie ich wypłoszyć. Jeżeli nawet dana sztuka pod wpływem hałasu porzuci swój rewir, to, gdy się uciszy, powraca. Dzięki temu przywiązaniu jarząbka do miejsca, może myśliwy, dbający o swój zwierzostan, obliczyć podczas zimy w przybliżeniu ile posiada jarząbków w swoich rewirach.

O to terytorjum staczają one ze sobą walki, trwające dopóty, dopóki strona pobita nie wyniesie się z obszarów, pozostających we władaniu zwycięzcy.

Miejsca, w których jarząbki przebywają, łatwo jest poznać po śladach, jak i po pomiocie, który szczególnie w wielkich ilościach znajduje się pod drzewami, służącemi im za nocne schronienie. Pomiot ma wygląd robaczka koloru żółto-czerwonego, na jednym końcu białawego, grubości 5 do $5^1/_2$ milimetra i półtora do dwóch centymetrów długiego. O ile pomiot jest stary, wygląda on jak ruda plama.

Zimą koguty wydają głos tylko w wyjątkowych wypadkach, przeważnie w ranki ciepłe i pochmurne, kury zaś nie odzywają się prawie wcale. Pary pozostają przeważnie nierozłączne.

Około 1-go marca, nieco wcześniej lub później, za-

leżnie od wiosny, stare samce zaczynają zdradzać pewien niepokój, wyrażający się większą skłonnością do bójek i częstszem wydawaniem głosu. Zmieniają też teraz miejsce pobytu, przenosząc się w okolice bardziej zbliżone do lasów sosnowych, na ich brzegach także teraz żerują. Żywią się najrozmaitszemi poczwarkami i zeszłorocznemi jagodami, gdy je znajdą przygodnie, pokarm zasadniczy pozostaje jednak ten sam, co był w okresie zimowym. Później, gdy pokażą się pierwsze pędy trawy, jedzą jarząbki tę ostatnią, a gdy rozwiną się młode listki, używają ich również na pożywienie, przekładając osikowe liście nad inne. Pomiot ich zmienia teraz barwę na burozieloną.

Prawdziwy wab rozpoczyna się koło 10—15 marca. Koło jednej samicy zbiera się wówczas cztery do pięciu kogutów, które staczają ze sobą nadzwyczaj zaciekłe walki, jakich nieraz sam byłem świadkiem. Okres bójek trwa koło 7—8 dni, poczem jarząbki rozbijają się na pary. Teraz czubią się ze sobą zarówno koguty, jak i kury, te ostatnie biją się jednak znacznie rzadziej i tylko wówczas, gdy jest jeden samiec na dwie kury, co zdarza się bardzo rzadko.

Mylnem jest mniemanie, jakoby jarząbki tokowały, rozumiejąc tok, jako wydawanie przez ptaka pewnego, określonego głosu. Proces deptania miewa miejsce zwykle o godzinie 7—8 rano, przyczem kogut pędza samicę, jak kogut domowy kurę. Roztacza wówczas ogon i napusza się cały tak, że wygląda, jak kula, wydaje przytem głos nieco zbliżony do szybko powtarzanych sylab: czyki, czyki, czyki. Gonitwę taką widziałem dwa razy w życiu. Po upływie mniej-więcej dwóch tygodni od chwili rozbicia się jarząbków na pary, samica zaczyna słać gniazdo, najczęściej w pobliżu polanki leśnej, lub zgoła na brzegu lasu. Jest to zwyczajny dołek, wykopany w ziemi, w miejscu suchem, pod kupą chróstu, w leszczynowym krzaku, lub w gęstwinie paproci, wysłany skąpo mchem, suchemi liśćmi, oraz pierzem, które samica wydziera sobie z podbrzusza. Gniazda jarząbków widziałem w swej praktyce myśliwskiej kilka razy.

Do tego gniazda składa kura z przerwami parodniowemi jaja w ilości 8 do 10 sztuk, cokolwiek ponad 3.75 cm. długości i do 2,8 cm. średnicy, na błyszczącem, kremowem tle, mniej lub więcej rdzawo bronzowo nakrapianych, na które zasiada około 10-go maja. Obserwowałem w swoim czasie gniazdo jarząbka: gdy je znalazłem, było w niem trzy jaja, w ciągu dwóch tygodni samica zniosła jeszcze sześć. Samica bardzo dba o swe gniazdo; za każdym razem, gdy zeń schodzi, zakrywa je liśćmi lub mchem tak, że niepodobna rozpoznać, gdzie się ono znajduje; czyni to, by jaja nie ostygły, a także, by je ochronić przed szkodnikami.

Gdy samice już siądą na jajach, koguty przez 10—12 dni jeszcze bardziej intensywnie się wabią. Tłumaczy się to tem, że pozostaje zawsze około 10% jałowych samic, które się jeszcze depczą. Obala to twierdzenie niektórych jarząbkoznawców, jak Neumana, Mniszka, Menzbira i innych, którzy dowodzą, ze dana para jarząbków tworzy stadło na całe życie.

Z chwilą gdy kura siądzie na jajach, samiec ją porzuca i nie powraca do niej już nigdy.

Zdarza się teraz, że samiec, gdy znajdzie gniazdo, tłucze jaja, najwidoczniej poto, by jeszcze raz sobie gody weselne wyprawić. Z tego względu uważam, że wiosenna ochrona samców jest w wysokim stopniu nieracjonalna, o czem jeszcze będę mówił w końcu pracy niniejszej.

Po tym okresie samce odpoczywają po uciechach miłosnych, a około 15-go czerwca zaszywają się w miejsca mało dostępne, gdzie lenieją, lecz nie tak gwałtownie, jak głuszce, lecz bardziej stopniowo.

Kura siedzi na jajach 22 dni, poczem wykluwają się pisklęta. Od chwili wyklucia są bardzo zwinne i żwawe. Opuszczają gniazdo na drugi dzień po wyjściu z jajka, na dwunasty zaś już tak dobrze latają, że mogą usiąść na gałązce, znajdującej się na wysokości jednego metra nad ziemią. Dość często zdarza się teraz, że do stadka przyłącza się stary kogut, który w razie śmierci samicy roztacza opiekę nad młodzieżą. Nie jest on wprawdzie stale przy stadku, bo samica go odeń odpędza, lecz zawsze kręci się gdzieś w jego pobliżu.

Matka jest bardzo przywiązana do swego potomstwa i bardzo się o nie troszczy. Karmi je różnego rodzaju poczwarkami, owadami oraz mrówczemi jajami. Młode mają wygląd puszystych kulek, około 5-ciu cm. średnicy. W chwili niebezpieczeństwa tak się potrafią chować, że o odnalezieniu ich bez psa nie może być mowy.

Starka bohatersko broni młodych przed napaścią, często padając ofiarą swego poświęcenia. Zwykle udając zbarczoną, odciąga od nich wroga. Około 20 czerwca do 1 lipca młode są cokolwiek mniejsze od drozda i opierzone już są w pierwsze pierze. Stadko zaczyna prowadzić żywot koczowniczy, na niewielkiej coprawda przestrzeni. Pokarm wyszukuje młodym matka. Składa się on, jak poprzednio, z rozmaitych poczwarek, które starka wygrzebuje nogami z ziemi i liści. W miarę, jak młode dorastają, poczynają używać pożywienia roślinnego. Prowadzą też żywot coraz samodzielniejszy, rozpierzchając się na coraz to większej przestrzeni i zwabiając ustawicznie, nocują jednak zawsze na ziemi, pod skrzydłami matki. W drugiej połowie lipca młode już zupełnie dobrze latają i noc spędzają na drzewach. Rankiem stadka się rozbijają, z nadejściem południa zbierają się znowu i zaszywają pod zwał łomu, w krzak leszczynowy, lub wogóle w jakieś spokojne miejsce. Tam przebywają do godziny 4—5 po południu. Po nadejściu tej godziny rozsypują się w poszukiwaniu pożywienia, by o zmroku znowu się zebrać.



Rogacz, rozszarpany przez rysia. Dolsk.
Fot. J. hr. Stadion-Rzyszczewski.

W tym czasie młode jarząbki opierzają się w szatę dorosłych ptaków. Około połowy sierpnia stadka emigrują z okolic, w których przebywały dotychczas, na brzegi lasów sosnowych, w miejsca, gdzie rosną borówki, które to jagody służą im o tej porze prawie wyłącznie za pożywienie. Stare koguty poczynają robić wycieczki w sosnowe lasy, zapuszczając się nieraz o kilometr od czarnolesia.

Około 25-go sierpnia, mniej więcej, nieco wcześniej lub później, zależnie od roku, rozpoczyna się tak zwany wab jesienny. Jak młode, tak i stare jarząbki zwabiają się i tworzą pary, w których przebywają aż do następnej wiosny. Wab ten jest identyczny z wiosennym, z tą różnicą, że łączenie w pary odbywa się spokojniej. Coprawda i tu miewają miejsce bójki, lecz odbywają się one tylko między staremi kogutami. Często zdarza się widzieć pary złożone z samców, rzadziej z samic, najczęściej zaś widuje się je złożone z koguta i kury.

Przyczyny jesiennego wabu nie są jeszcze dostatecznie zbadane, to samo zresztą zjawisko widzimy u głuszców i cietrzewi, które także jesienią tokują.

Jesienią jarząbki zwabiają się głosem, brzmiącym identycznie z wiosennym. Wab jesienny kończy się, gdy z drzew liść opadnie.

W pierwszych dniach października jarząbki trzymają się prawie wyłącznie lasów świerkowych, oraz takich miejsc w lasach liściastych, gdzie liść najmniej opada. Gdy drzewa obnażą się zupełnie, przenoszą się w okolice lasów, w których dominuje osika, olcha, leszczyna i brzoza, gdzie przebywają do następnej wiosny.

Jarząbek jest ptakiem towarzyskim. Z wyjątkiem bardzo starych kogutów, które rade są przebywać w samotności, poszukuje zawsze towarzystwa. Kogut bywa zazwyczaj kłótliwego usposobienia. O ile pogoda sprzyja, jest ciepło, nie opuści nigdy okazji do bójki. Szczególnie zażarte bitwy staczają między sobą koguty na wiosnę, podczas godów weselnych. Kura, w przeciwieństwie do koguta, jest spokojnego i poważnego usposobienia i tylko zazdrość zmusza ją czasami do agresywnych kroków względem rywalki.

Mylnem jest zdanie, jakoby jarząbek miał być ptakiem głupim. Jest to ptaszek bardzo sprytny i ostrożny, a czy można mu mieć za złe, że głos jego da się tak dobrze naśladować na wabiku?

Jarząbki, jak wszystkie kurowate, bardzo lubią kąpać się w piasku. Czynią to, by uwolnić się od pasożytów zewnętrznych. Usiadłszy w suchem kretowisku, lub wogóle na jakiejś mniejszej lub większej przestrzeni suchej ziemi lub próchna, odpowiedniemi ruchami skrzydeł i nóg przesiewają piasek pomiędzy piórami. Podczas tych kąpieli połykają też większe ziarnka piasku i kamyczki, które im ułatwiają trawienie.

(Dok. nastąpi.)

OTTON PEREŚWIET-SOŁTAN.

Z osobliwą przyjemnością zamieszczamy na łamach naszego pisma monografję przyrodniczo-myśliwską jarząbka, pióra młodego jeszcze, lecz znanego myśliwego i bacznego obserwatora zwierzyny łownej i jej życia.

Dotychczas w polskim języku ukazała się w swoim czasie jedyna większe praca o jarząbku Alberta hr. Mniszka, której nakład jest na wyczerpaniu. Niewątpliwie miłośnicy tego pięknego, miłego, a rzadkiego i tajemniczego mieszkańca niektórych puszcz i głębokich gąszczów leśnych, powitają nową monografję jarząbka z radością i wdzięcznością dla jej autora.

Jarząbek jest ptakiem, wymagającym specyficznych warunków bytowania zarówno naturalnych, jak i niezmiernie pieczołowitej opieki ze względu na dużą liczbę wrogów, jakich posiada. Jako gnieżdżący się na ziemi, podlega w gniazdach zniszczeniu jaj i piskląt przez różne gatunki drapieżników, wśród których amatorów na jedne i drugie nie brak: jeż, łasica, tchórz, kuna, borsuk, lis, dzik przyczyniają się w dużej do tego mierze; młodym, już latającym i dorosłym ptakom zagrażają natomiast nieustannie wszystkie pierzaste drapieżniki z rodziny sokołów, krogulce i gołębiarze, które na swoje łowy chętnie udają się nawet w odległe zakątki puszcz, wreszcie różne gatunki sów z sową uralską na czele, która jest niezwykle dla jarząbków groźna.

Jak dalece ta ostatnia wpływa ujemnie na rozmnożę jarząbków, możemy przytoczyć najnowszy przykład życiowy, stwierdzony w jednym ze znanych terenów łownych na Podkarpaciu. Z chwilą, gdy obok innych drapieżników zajęto się bliżej sową uralską, wypowiadając jej zdecydowaną wojnę, stan jarząbków tego rewiru podnosi się z roku na rok znakomicie, a nawet wybitnie, a już w pierwszym roku zastosowania tego środka przyniósł prawie stoprocentowy przyrost.

Jarząbek, jako ptak łowny, zasługuje ze wszechmiar na więcej uwagi i troski o jego bezpieczeństwo ze strony myśliwych-hodowców, uważamy przeto, że winien się stać przedmiotem szczególnych usiłowań w kierunku rozpowszechnienia go w rewirach leśnych, obdarzonych odpowiedniemi warunkami naturalnemi, a wówczas należy mieć nadzieję, że, otoczony większą opieką i pieczołowitością, zacznie rozmnażać się w miejscach dotychczas przez niego nie zamieszkałych, urozmaicając wielce zwierzostany leśne, w rewirach zaś, gdzie występuje teraz, bez trudnych i kosztownych zabiegów stać się może bardzo licznym.

Niezmiernie byłoby pożądanem, aby właściciele łowisk, zamieszkałych przez tego cennego ptaka, zechcieli odezwać się na łamach „Łowca Polskiego", dzieląc się swemi spostrzeżeniami i uwagami, opartemi na długoletniem doświadczeniu, a dotyczącemi rozwoju życia jarząbków w znanych im dokładnie miejscowych warunkach.

W. Z.

HISTORJA MAŁEGO REWIRU.

(PRZYCZYNEK DO GOSPODARCZEGO ZNACZENIA ŁOWIECTWA).

Opisując historję mego małego, obecnie ca 800 ha wynoszącego rewiru, czynię to z dwóch zasadniczych względów. W pierwszym rzędzie dlatego, żeby wykazać na podstawie bezwzględnie wiarogodnych danych, jak, mimo minimalnych nakładów finansowych, przez racjonalną ochronę i roztropny odstrzał, polując rokrocznie, można stopniowo lecz stale powiększać liczebnie stan swej zwierzyny i, mimo stale zniżkujących cen na nią, utrzymać rentowność gospodarstwa łowieckiego. Po drugie zaś, aby wywołać dyskusję między właścicielami podobnych rewirów, których głosy tak, niestety, rzadko pojawiają się na łamach „Łowca Polskiego".

Niezmiernie miło jest czytać o wspaniałych łowach na grubego zwierza w Karpatach, o świetnie udanych obławach w Dawidgródku czy Rzepichowszczyźnie, lubo reprezentacyjnych polowaniach w naszych wielkich kniejach państwowych, niestety jednak tylko nielicznej garstce wybranych z pośród czytelników „Łowca Polskiego", danem jest przeżywać owe rozkosze łowieckie na jawie. Wielki natomiast jest zastęp wyznawców św. Huberta, którzy posiadają niewielki rewir własny lub dzierżawiony, na którym osiągają lepsze lub gorsze rezultaty i niewątpliwie posiadają duży zasób doświadczenia i fachowych wiadomości, lecz, przytłoczeni sprawozdaniami ogromnych rezultatów z wielkich rewirów, wskutek nieuzasadnionej skromności nie odzywają się prawie wcale na łamach prasy łowieckiej, lub w najlepszym razie w kronice łowieckiej umieszczają raz do roku suchy i nic nie znaczący rezultat dorocznego, zimowego polowania. Jest to według mego zdania luka, którą należy jakoś wypełnić i w ten sposób wzbudzić zainteresowanie i poczytność naszej prasy łowieckiej.

Majątek, który opisuję, położony jest w Wielkopolsce, w powiecie rawickim. Posiada 405 ha, w czem około 320 ha roli w większej części gliniastej oraz łąk, reszta t. j. 85 ha to las, rozrzucony w kilkunastu

kawałkach po całym majątku, las mieszany, stary i młody, prawie wszędzie podszyty dzikiemi malinami, jeżynami i innemi krzakami, dającemi doskonałą ochronę wszelkiej drobnej zwierzynie.

Majątek ten kupiłem w r. 1927. Był on przedtem w administracji i polowanie na nim uprawiano długie lata zupełnie bez planu, polując często i gęsto, jak kto chciał, i kiedy kto chciał. Nie dziw więc, że był on, że się tak wyrażę, gruntownie wystrzelany, a jedynie pogłowie sarn liczebnie przedstawiało się jako tako, było ich bowiem razem około 60 sztuk, przy stosunku jednak 1 rogacz na 7—8 sarn, jakościowy więc stan był katastrofalny.

Uporządkowawszy interesy gospodarcze, począłem się baczniej przyglądać nowonabytemu rewirowi. Figura majątku, z jednej strony kwadrat, z drugiej długa i cienka kiszka, przedstawiała się nieszczególnie. Z trzech stron graniczyły majątki, z czwartej, najdłuższej — dwie gminy, których polowanie dzierżawił gruby niemiec, który osobiście, z powodu swej tuszy, strzelał tylko rogacze, pozostawiając resztę zwierzyny do odstrzału leśnikowi, który, będąc na tantjemie od ubitej sztuki, cały dzień włóczył się po polach i strzelał co popadło. Odrazu więc zrozumiałem, że z tej strony grozi mojej zwierzynie największe niebezpieczeństwo. Wszedłszy w porozumienie z sołtysem mniejszej gminy, w której w roku tym kończył się kontrakt, wydzierżawiłem ją, uzupełniając ową kiszkę własnego rewiru do normalnego kwadratu. Dobrawszy w ten sposób około 175 ha, rewir mój powiększyłem do ca 580 ha.

W grudniu tegoż roku urządziłem pierwsze, orjentacyjne polowanie zimowe, licząc, ze względu na doskonałe ceny za zwierzynę, za zająca bowiem płacono wtedy około 11 złotych, na spory dochód, który chciałem zużyć na najkonieczniejsze inwestycje w nowym rewirze. Jakże opłakany okazał się jednak ten pierwszy rezultat! Na całych 580 ha padło ogółem 52 zające, 4 koguty bażancie i 2 króliki. Razem sztuk 58. Dochód z opłakanego tego rezultatu, po zapłaceniu dzierżawy rocznej za gminne polowanie, starczył zaledwie na zakup 5-ciu samic zajęczych i jednego kosza bażantów (4 kury i 1 kogut). Wprawdzie rewir prosił się o większe nakłady, szczególnie celowem wydawało mi się założenie bażantarni, gdyż teren z luźno rozrzuconemi laskami, wśród pól uprawnych i łąk, szczególnie się na to nadawał, jednakże już w tym pierwszym roku postanowiłem utrzymać i poprawić stan zwierzyny w moim rewirze środkami, które sam dawał. Stało się to dążeniem mojej ambicji, którego konsekwentnie do dziś ściśle przestrzegam.

Przyjąwszy młodego leśnika, zabrałem się energicznie do t ę p i e n i a r o z m a i t y c h d r a p i e ż n i k ó w i do wypędzania niezliczonych rzesz spacerowiczów z lasu, który z powodu odległego o 2 km. miasteczka roił się od nich nietylko w niedzielę i święta, lecz również i w dnie powszednie. Szło to ostatnie bardzo opornie, lecz, uważając, że pierwszym warunkiem hodowli zwierzyny jest bezwzględny spokój w rewirze, byłem uparty i bezwzględny, niejednokrotnie chwytając się kija. Wojna z drapieżnikami w pierwszym roku mego gospodarowania, dała zato dość obfity rezultat. Na rozkładzie przez cały rok było: 2 lisy, 17 psów, 22 koty, 13 jastrzębi rozmaitego gatunku, 9 jeży, 3 tchórze i 17 srok, razem sztuk 83. J e ż e o d p i e r w s z e j c h w i l i p o l e c i ł e m t ę p i ć, j a k o w i e l k i c h a m a t o r ó w g n i a z d b a ż a n c i c h i k u r o p a t w i c h, o c z e m s i ę s a m o s o b i ś c i e p r z e k o n a ł e m.

W pogłowiu sarniem ograniczyłem się do odstrzału 4 starych kozłów, które trzęsły całym rewirem i, ze względu na swój wiek i doświadczenie, były niejako nieuchwytne dla moich poprzedników. Były to kozły, prócz jednego, stare wsteczniaki, czwarty był młody, o bardzo ostro zakończonych parostkach, który w moich oczach, w czasie rui, poważnie poranił sarnę i wogóle bardzo obcesowo obchodził się głównie z młodszymi od siebie kolegami. Zimową porą odstrzeliłem również 8 starych kóz. Kuropatw, których było razem około 6 stadek, ubiłem tylko 22, przeważnie stare, ochraniając młode zupełnie. Polowania zimowego w roku tym, t. j. 1928, nie urządzałem wcale, wobec czego dochód z rewiru był minimalny.

Tenutę dzierżawną w sumie 320 złotych musiałem wyłożyć z własnej kieszeni i ograniczyłem się do urządzenia w lesie kilkunastu lizawek dla sarn i 6-ciu budek dla bażantów, których już miałem około 25 sztuk. Posadziłem również w trzech miejscach rewiru małe 1/4 hektarowe parcelki topinamburu. Rzecz ciekawa, że sarny z lizawek korzystały rzadko i niechętnie, często natomiast odwiedzały je zające, które z wielką przyjemnością obgryzały korę z niskich słupków, na których kamienie solne były umieszczone. Pozatem kamienie, które zakupiłem, okazały się niepraktyczne, gdyż w czasie zimy i słoty szybko lasowały się i kruszyły. Ponadto były dosyć drogie. Bażanty i kuropatwy dokarmiałem całą zimę poślade pszennym, sypiąc go pod budki i w krzaki cierni, których miałem trochę przy drogach. Cztery paśniki dla sarn w lesie całą zimę stały nietknięte, mimo smacznego owsa w snopkach i mieszanki, którą zadawałem. Tłomaczę to sobie w dużej części tem, że posiadam u siebie przeważnie sarny polne, które tylko w czasie bardzo ostrych mrozów i w czasie lęgów chronią się przejściowo do lasu i traktują go, jako zło konieczne. Tak więc, nie poczyniwszy żadnych większych inwestycyj, przeszedłem na rok 1929 z długiem 342 złotych.

Rok ten przyniósł w rezultacie 132 sztuki zwierzyny łownej, w czem 84 zające i 18 kogutów bażancich, oraz 41 drapieżników, w czem znów 19 psów i 14 kotów. Dochód starczył na pokrycie zeszłorocznego deficytu, na zapłacenie bieżącej dzierżawy, która z powodu spadku ceny żyta, na które opiewała, obniżyła się o ca. 25%; za resztę dokupiłem 10 kur bażancich. Na rogacze nie polowałem wcale, gdyż w czasie pamiętnej zimy na przełomie roku 1928-29, padło na zapalenie płuc 12 rogaczy i 5 kóz. Strata to była znaczna, mimo dobrze już poprawionego stanu liczebnego. Sarny zdychały przeważnie przy paśnikach, z objawami gorączki i wycieńczenia. Od tego czasu postanowiłem nie zwiększać karmy dla sarn podczas ostrych mrozów, o ile powłoka śnieżna nie jest zbyt gruba, sarna bowiem, najadłszy się dosyta, staje się ociężała i leniwa, nie ma dostatecznego ruchu i, dużo leżąc, łatwo się zaziębia. Pozatem kilkanaście rogaczy, które pozostały, miały tego roku bardzo słabe parostki, co jest zwykłym objawem ciężkiej zimy. Odstrzał kóz ograniczyłem również do 5 sztuk.

Rok 1930 był już znacznie lepszy. Przyniósł on w sumie 410 sztuk, w czem 356 sztuk zwierzyny łownej i 54 drapieżniki. Był to szczególnie dobry rok na zające, których padło ogółem 198. Bażanty podskoczyły na rozkładzie do 30 sztuk kogutów. Również mogłem sobie pozwolić na odstrzał 50 kuropatw. Sporo też było w roku tym królików, których ubito 74. Rogaczy ubiłem 4, wszystko dobre szóstaki, o ładnej i równomiernej rozłodze. Dochód z rewiru wynosił brutto 1362.— zł. i dał po raz pierwszy, po zapłaceniu dzierżawy i niewielkiego odszkodowania za szkody, netto 1012.— zł.

Mając w tym roku już dość dobry stan bażantów i kuropatw, począłem stosować, chcąc uniknąć sztucznego hodowania zwierzyny, sposób podany mi przez pewnego Niemca. Polega on na tem, że od połowy

maja i przez cały prawie czerwiec leśnik z psami codziennie obchodzi łąki i koniczynę, spędzając stamtąd kury bażancie i kuropatwie. W ten sposób niepokojone ciągle ptactwo traci ochotę do gnieżdżenia się na tych obszarach, co w rezultacie daje możność uniknięcia w dużej mierze wykaszania niewylężonych gniazd podczas sianokosów i przy sprzęcie koniczyny, który tu wypada w drugiej połowie czerwca. Praktykując to od kilku lat, nie wykaszam więcej ponad 50—70 jaj bażancich rocznie, które składa się pod kurą, a młode bażanty możliwie wcześnie wypuszcza się do lasu. Będąc zdeklarowanym przeciwnikiem sztucznego hodowania zwierzyny, nigdy nie sprowadzam jaj do wylęgu, a wykoszone bażanty, po 2—3 tygodniach trzymania przy kurze, wynoszę do lasu, gdzie też w ciągu jakichś 14 dni odłączają się one od kury i rozpraszają po lesie. Mam wrażenie, że w ten sposób zmniejszam ryzyko zawleczenia różnych chorób do minimum i mam prawdziwie dziką zwierzynę w moim rewirze.

Dochód z rewiru schowałem tym razem do kieszeni, jako słuszną zapłatę za 4-letnie starania. Nie poczyniłem żadnych nakładów, doszedłszy do wniosku, że zwierzyna sama się mnoży, jeśli się jej zapewni spokój i należytą ochronę.

Rok 1931, który, począwszy od wczesnej wiosny, aż do późnej jesieni, był naogół mokry, przyniósł nieznaczny spadek ogólnego rozkładu. Wyniósł on mianowicie 366 sztuk, w czem 13 drapieżników. Zwierzyna łowna zatem pozostała w ilości równej z rokiem poprzednim. Było trochę mniej zajęcy, które szczególnie cierpią od mokrej wiosny, lecz zato ilość ubitych na zimowem polowaniu kogutów podniosła się do 71 sztuk. Rogaczy odstrzeliłem znów 4, a kóz zimą 7. Kuropatw było nieco więcej tak, iż upolowałem sztuk 73. Dochód za ten rok, licząc oczywiście również zwierzynę, zużytą na potrzeby domowe, wynosił brutto 1402 zł.

Mając znów do dyspozycji, po zapłaceniu dzierżawy dochód czysty w sumie około 1000 zł., skorzystałem z okazji ukończenia kontraktu dzierżawy polowania drugiej, graniczącej ze mną gminy i wydzierżawiłem ją w częściach do mego rewiru przylegających. W ten sposób miałem nareszcie wszystkie strony zabezpieczone i rewir mój powiększył się o 225 ha, do obszaru, który dziś posiada.

Rezultat tego dobrego pociągnięcia okazał się zaraz w pierwszym roku, t. j. 1932. Ogólny rozkład wynosił bowiem 625 sztuk zwierzyny łownej i 22 drapieżniki, czyli razem 647 sztuk. Szczególnie bażanty, których nikt mi już nie strzelał jesienią z podrywu, dały na zimowem polowaniu rozkład 118 kogutów. Zajęcy było 325 i 27 królików, które w tym roku wyzdychały na jakąś zarazę. Kuropatw, na które po raz pierwszy pozwoliłem sobie urządzić małe polowanko w 4 strzelby, padło ogółem 145 sztuk. Stosunek rogaczy do sarn, dzięki korzystnym lęgom ostatnich lat, poprawił się znacznie, tak, że wyrażał się cyfrą 1—3.

Odstrzeliłem też w tym roku 8 kozłów i zaryzykowałem wystawienie kolekcji z 5 sztuk, w tym roku ubitych, na wystawie w Poznaniu. Uzyskałem tam medal bronzowy, niewielki wprawdzie tryumf, lecz, jak na pierwszy publiczny występ, byłem zadowolony. Kóz odstrzeliłem zimą również ośm i od tego czasu postanowiłem odbijać zimą tę samą ilość kóz, co rogaczy w lecie. Pogłowie moich sarn dziś wynosi około 130 sztuk, przy stosunku 1 rogacz na 3 sarny. Stosunek ten uważam już za wystarczający i nie zamierzam dążyć do poprawienia go. Jestem zdania, że stosunek 1 rogacz na jedną do dwóch sarn, wprowadzać mogą tylko wielkie rewiry, lub takie, które posiadają pewne naturalne granice, zapewniające stały pobyt sarn w danym rewirze. W małych rewirach, korzyść takiej ochrony, zbyt często przypada sąsiadom, którzy mało, a często wcale o stan swej zwierzyny nie dbają.

Suma dochodu brutto za rok 1932 wynosiła już 2454,05 zł. Ponieważ jednak zmuszony byłem zapłacić tenutę dzierżawną za 2 lata, bo płaciłem ją zgóry, wydatkowałem więc razem na obie gminy zł. 1225.—. W rezultacie pozostało mi 1229 zł. czystego zysku.

Przedstawiając powyższe zestawienie cyfrowe, nie mam zamiaru imponować komukolwiek, przeciwnie, jestem zdania, że do maksymalnego rezultatu, tak ilościowego, jak finansowego, w moim rewirze jeszcze bardzo daleko. Niewątpliwie przy intensywniejszych nakładach mógłbym już dziś wykazać rezultaty o znaczny procent lepsze. Dlatego proszę wziąć pod uwagę, i to specjalnie podkreślam, że osiągam je przy tak minimalnych nakładach, jakie wykazałem a powtóre, że poza rokiem 1928 polowałem, poluję i zamierzam polować rokrocznie na wszelką zwierzynę w moim rewirze.

Polując co roku na zimowem polowaniu w ośm dobrych strzelb, pozostawiam około 50 ha nieopolowanego rezerwatu, położonego w środku rewiru i daję w ten sposób zwierzynie dostateczne szanse ujścia cało z tych koniecznych opresyj.

Rezultat za rok 1933 oceniam dziś na około 850 sztuk — cyfra to nie imponująca. Przeciwstawiając jej jednak rezultat z przed sześciu lat w liczbie 58 sztuk, jest ona dość poważna, a do tysiąca już niedaleko, czego daj św. Hubercie doczekać. D.



Rogacz, rozszarpany przez przechodniego rysia w Dolsku, w czerwcu 1933 r.
Fot. J. hr. Stadion-Rzyszczewski.

PODZIAŁ ZWIERZYNY NA „POŻYTECZNĄ" I „SZKODLIWĄ".

Czytelników nudzą przewlekłe polemiki, choćby dotyczyły spraw najciekawszych i najaktualniejszych. Czytelnik z przedziwną intuicją wyczuwa, że, gdy spór na dłużej się zaciąga, to polemistom zaczyna chodzić nie tyle o wszechstronne oświetlenie sprawy pro publico bono, ile o ambicję autorską: zawszeć ten, kto ostatni zamilknął, zdobywa w oczach szerszego ogółu opinję tego, kto miał rację, t. j. niemal tryumfatora... Z tych względów nie lubię długich polemik i unikam, jak mogę, t. zw. replik. Jednak, wątpliwości nie ulega, że w sprawach naprawdę ważnych polemika — choćby najdłuższa — jest jedynym środkiem zbliżenia się do prawdy, która (podobno) tkwi zawsze pośrodku...

Podstawą, może najważniejszą kwestją w łowiectwie (ściślej — w prawie łowieckiem) jest sprawa ustawowych terminów ochronnych dla zwierzyny. Sprawa ta dzieli się z kolei na kilka, że tak powiem, „podkwestyj", z których stosunkowo nową i dlatego zapewne tyle wątpliwości budzącą jest kwestja ustawowej ochrony drapieżników. W sprawie tej na niedużej przestrzeni kilku zeszytów „Łowca Pol." z r. b. już zabrało głos aż 8 autorów! (pp. H. Knothe, A. hr. Rzewuski, K. Wysocki, H. Steinhagen, T. Szoll, dr. K. hr. Wodzicki, W. Podhorski — i niżej podpisany). Czyż sama ilość polemistów nie dowodzi, że sprawa jest aktualną, a nawet palącą?

Należę do zwolenników nieprzesadnej, umiarkowanej ochrony drapieżników, ale ochrony — u s t a w o w e j, a nie „dobrowolnej" (t. j. pozostawionej widzimisię myśliwego).

W niniejszej replice chodzi mi szczególnie o odpowiedź p. Kazimierzowi Wysockiemu, gdyż on to, należąc do „przeciwnego obozu", poglądy swe najprecyzyjniej i najwszechstronniej wyłożył, poruszając i prawną, i przyrodniczą, i hodowlaną, i sportowo-łowiecką stronę zagadnienia („Łowiec Polski" Nr. 28).

W świetle Jego poglądów wszystkie te „strony" zagadnienia budzą we mnie bardzo daleko idące zastrzeżenia. Z każdym z tych poglądów radbym polemizować. Nie robię tego, bo nie chcę nudzić czytelników. Bo co mogą obchodzić przeciętnego myśliwego zawiłe dyskusje prawnicze na temat np. czy zwierzyna jest „mieniem" w świetle nauki prawa i jurysprudencji.*)

Albo: — dlaczego ochrona lisa, duszącego bażanty i indyki, jest antykonstytucyjna, a ochrona zająca, niszczącego szkółki owocowe, nie jest sprzeczna z konstytucją?... Pytania te są niemal, że wyłącznie teoretyczne, zaś prędzej czy później orzecznictwo sądów naszych udzieli odpowiedzi na te pytania.

Również czysto teoretycznem byłoby pytanie: — czy słusznie czyni p. Wysocki, gdy w sposób antropomorficzny nie dopatruje się „szlachetnych" instynktów u krwiożerczych drapieżników, uważając zapewne, że jeleń lub zając mają „szlachetne" instynkty, bo im natura kazała żywić się roślinami, a nie krwią i mięsem, jak tamtym „krwiożerczym drapieżnikom". Antropomorfizm jest niebezpieczny, bo nasuwa nieodparcie analogję podziału ludzi na mięsożerców i jaroszów, z wielką ujmą dla pierwszych...

Chodzi mi przeto nie o detale sporu, lecz o jego p u n k t w y j ś c i a. Precyzyjne i konsekwentne wywody p. Wysockiego przyjąłbym bez zastrzeżeń i pogodziłbym się z Nim w szczegółach, gdybym wyznawał jego punkt wyjścia. Tym punktem wyjścia jest uczyniony a p r i o r i przez p. Wysockiego podział zwierzyny na „pożyteczną" (wzgl. „użyteczną") i szkodliwą („drapieżniki"). Podział ten zdaje się być dla p. Wysockiego aksjomatem. Jeżeli zgodzimy się na ten podział, to cały spór przestanie istnieć i tezy p. Wysockiego nabiorą niewzruszalności dogmatów łowieckich. Ale... czy samo zrobienie takiego podziału jest słuszne i trafne?... Czy podział ten jest prawdą, niewymagającą uzasadnień?

Otóż wyłącznym celem niniejszego artykuliku jest postawienie prawdziwym znawcom kniei, t. j. znawcom życia, obyczajów i hodowli zwierzyny następujących dwuch pytań zasadniczych:

1) c z y p r z y w s p ó ł c z e s n y m, w s z e c h s t r o n n y m i s z e r o k i m p o g l ą d z i e n a ł o w i e c t w o m o ż n a u c z y n i ć b e z w z g l ę d n y (a b s o l u t n y) p o d z i a ł z w i e r z ą t ł o w n y c h n a „p o ż y t e c z n e" i „s z k o d l i w e"?

2) j e ż e l i t a k, — t o w j a k i s p o s ó b i z j a k i c h p r z e s ł a n e k w y c h o d z ą c n a l e ż y p r z e p r o w a d z i ć l i n j ę d e m a r k a c y j n ą p o m i ę d z y z w i e r z y n ą „p o ż y t e c z n ą" a z w i e r z y n ą „s z k o d l i w ą"?

Rzecz prosta, że w toku dyskusji te dwa pytania zasadnicze zrodzą długi szereg pytań dalszych — podrzędnych...

Sam na te pytania nie mam odwagi odpowiadać. Od długiego szeregu lat los mnie oderwał od stałego kontaktu z knieją. Nie mam możności ani robienia systematycznych obserwacyj przyrodniczych, ani tembardziej eksperymentów hodowlanych. Moje dzisiejsze spostrzeżenia są albo dorywcze, albo „z drugiej ręki".

Toteż na zakończenie wzywam pp. myśliwych-praktyków do zabrania głosu w kwestji dwóch pytań wyżej postawionych. Zwłaszcza wzywam pp. myśliwych wschodnich, bowiem spór o ochronę drapieżników jest sporem o przyszłość zwierzyny grubszej, zamieszkałej przeważnie na t. zw. kresach i stanowiącej chlubę łowiecką tych kresów. Nie mając zaszczytu znać osobiście wszystkich myśliwych-hodowców kresowych, zwracam się z imienia do tych tylko, których znam. Sądzę, że pp. Bolesław Świętorzecki, Jan Borowski, Mieczysław Tukałło, Olgierd Świda, Włodzimierz Korsak, Karol Wagner zechcą zabrać głos*). A gdy do głosów Łowiectwa Wschodniego dołącza się głosy z Zachodu, Południa i Centrum — tedy sądzę, że w tej tak ważnej kwestji zbliżymy się nieco do prawdy.

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI.

*) Jesteśmy odmiennego zdania, zwłaszcza bowiem dla hodowców zwierzyny kwestja ta stanowi pierwszorzędne zagadnienie. *(Przyp. Red.)*

*) W N-rze 32 „Ł. P." zamieszczony został na ten temat artykuł p. W. Podhorskiego p. t. „Czy zwierzyna łowna moze być „użyteczną" lub „nieużyteczną".

BOCIAN CZARNY.

W głębi starego, mieszanego lasu, wyrastającego na czarnej, błotnistej glebie, leżało rozległe, trawiaste mokradło. Szeroko rozlana woda obejmowała całą tę przestrzeń, nie sięgając jedynie wyższych kęp, porośniętych wyniosłą, ostrą trawą, falującą w wietrze z monotonnym szmerem. Małe, suchsze wysepki, rozrzucone wśród błota, pokrywała karłowata, powyginana dziwacznie brzezina i rachityczne sosenki. Środkiem mokradła wiła się wstęga strumienia, rozlewającego poza brzegi swe wody, łącząc je z tonią całego rozlewu i zacierając granice wąskiego koryta. Pod ścianą lasu występowały coraz częściej brzozy, tworzące nawet małe skupienia, wśród których wystrzelał w niebo dostojny świerk, lub gałęzista czarna olcha. Skupienia te w dalszym ciągu łączyły się ze sobą, przechodząc w ramę lasu, zamykającego zewsząd rozległe mokradło.

Z nad wysokich koron drzewnych wypłynęła nagle duża sylweta ptaka, lecącego w stronę bagniska. Majestatycznymi ruchami rozpostartych skrzydeł rozcinał on powietrze, trzymając wyciągniętą do przodu długą szyję i wlokąc za sobą cienkie, szczudlaste nogi. Ruchy skrzydeł ustały. Ptak zatoczył duże koło i opadł na błoto w pobliżu strumienia. Strzepnąwszy złożonemi już lotkami — wyprostował się i podniósł dumnie głowę. Prezentuje się teraz w całej okazałości.

Głowę, szyję, pokrywy skrzydeł, plecy i wierzch ogona ma brunatne, prawie czarne, z pięknym zielonym i fioletowym połyskiem, spód skrzydeł i całego ciała biały, zaś dziób i nogi czerwone. To bocian czarny, zwany także „hajstrą" *(Ciconia nigra)*. Duży ten ptak, ustępujący trochę wzrostem swemu białemu krewniakowi, stojąc wyprostowany dosięga 91 cm. wysokości. Dziób jego jest dłuższy od dzioba pospolitego „Wojtusia" i wynosi 20 cm. długości, oraz u nasady 3½ cm. szerokości, a u spodu, przy nasadzie zaopatrzony jest w płytką, wydłużoną torbę z jasnej, grubej skóry, służącą do czasowego przechowywania pokarmu. Młode ptaki, jak to ma miejsce i u bocianów białych, posiadają nogi i dziób czarne.

Bocian czarny jest mieszkańcem rozległych, dzikich lasów i błot, unikającym wszelkiej kultury i sąsiedztwa ludzi, toteż występuje w Polsce najliczniej na ziemiach północno-wschodnich, najzasobniejszych w odpowiednie dla niego tereny. Ze znanych mi stanowisk tego ptaka, najobficiej zamieszkuje on Puszczę Wiszniewską i Nalibocką, potem Rudnicką i całe Polesie. Znajduje się też w Puszczy Białowieskiej, a nawet kilka sztuk osiedliło się podobno na Pomorzu, w lasach Tucholskich. Trafia się także i w Karpatach. Oprócz tego, prawie wszystkie większe kompleksy leśne Wileńszczyzny i Nowogródczyzny posiadają tego ptaka, jednak w małych już ilościach. Hajstra zamieszkuje najchętniej wilgotne lasy mieszane, z bliskiem sąsiedztwem błot i mszarów, oraz wszelkich wód, w których wyszukuje pożywienia w postaci owadów, ryb, żab, węży. Jada i myszy, oraz krety.

W końcu kwietnia, albo w pierwszych dniach maja przylatują czarne bociany zazwyczaj parami do swych miejsc lęgowych i już wkrótce przystępują do budowy gniazd. W tym celu wybierają w głębi obszarów leśnych najwyższe drzewa, na wierzchołkach których klecą z grubych gałęzi duże gniazda, wysłane wewnątrz drobnemi gałązkami, suchą trawą lub sitowiem, niekiedy piórami. Budowle te, bardzo wysokie, z nieznacznem zagłębieniem w środku, znajdują się zawsze pojedyńczo i rozmieszczone są w różnych częściach lasu, w znacznej od siebie odległości. Widać z tego, że cały kompleks leśny podzielony jest przez bociany na rewiry, z których każdej parze ptaków podlega pewien określony obszar.

Pod koniec maja samica znosi 3 do 5 jaj, trochę większych od indyczych, barwy blado-niebieskawej, w nieliczne czarne, lub czekoladowe plamki, zrzadka rozrzucone po całej powierzchni jajka, którego wymiary wynoszą: 7 cm $\times$ 5 cm. Brzydkie pisklęta, okryte jasnym, żółtym puchem, przez długi czas pozostają w gnieździe i są troskliwie karmione przez obojga rodziców, otaczających je dużą pieczołowitością.

Koniec sierpnia i pierwsza połowa września jest okresem odlotu czarnych bocianów. Ptaki te trzymają się wówczas rodzinami, tworząc stadka złożone z 5 do 7 sztuk i tak nagle opuszczają swe miejsca pobytu, że trudno nawet zauważyć ich zniknięcie. W tym czasie hajstry zdradzają jakiś nieokreślony niepokój. Stadka tych ptaków stają się niezwykle ruchliwe, koczując ustawicznie po okolicy i pojawiając się w miejscach, gdzie ich przedtem nigdy nie było. Odlatują prawdopodobnie w nocy, co zdaje się potwierdzać następujące zdarzenie.

Po wieczornych łowach na zlotach kaczek w początkach września, nocowałem na stogu siana w okolicy, gdzie hajstry nie spotykały się już zupełnie. Noc była ciepła, księżycowa. Zagrzebany w wonnem posłaniu leżałem, wpatrując się w wygwiażdżone sklepienie nieba, kiedy nagle do uszu moich doleciał miarowy szmer skrzydeł rozcinających powietrze, tak charakterystyczny w przejmującej ciszy nocnej. Uniósłszy nieco głowę, ujrzałem kilka dużych sylwetek ptasich, lecących wprost na mnie. W chwilę potem pięć hajstr przeciągnęło tuż nad moim stogiem tak, że mogłem im się przyjrzeć z odległości niecałych paru metrów. Spojrzałem na zegarek: wskazywał on godzinę drugą rano. Po powrocie do dworu, opowiedziałem gospodarzowi swoje spotkanie. Był on ogromnie zdziwiony, gdyż, jak twierdził, czarne bociany od kilkunastu lat nie były widywane już w tutejszych stronach.

Dla łowiectwa hajstra jest ptakiem obojętnym, nie przynosi bowiem żadnego pożytku, nie wyrządza też znaczniejszych szkód. Spotkać się wprawdzie można z zarzutami, stawianemi jej przez właścicieli gospodarstw rybnych, że czyni duże spustoszenia w stawach. Ze względu jednak na rzadkość tego ptaka, szkody te są przeważnie bardzo problematyczne. Nie zalicza się on właściwie do zwierzyny, gdyż mięso ma niejadalne, twarde i cuchnące. Jedynie jako zabytek ornitologiczny interesuje myśliwego i dlatego zupełnie słusznie należy się mu całkowita ochrona.

Jak uprzednio wspominałem, hajstra jest mieszkańcem dzikich kniej i błot, skazanym z ich zanikiem na wyginięcie. Trzebież lasów, regulacja rzek, meljoracja bagien — wypierają tego ptaka z odwiecznych jego siedzib, toteż z każdym niemal rokiem staje się on rzadszym okazem polskiej awifauny. I bliski już jest dzień, gdy spotkać go będzie można jedynie na terenach nielicznych już naszych puszcz, lasów państwowych i paru większych posiadłości prywatnych. Z innych rewirów ustąpią czarne bociany może i na zawsze.

Prawodawstwo łowieckie chroni tego ptaka w ciągu całego roku. Państwowa Liga Ochrony Przyrody czyni wszystko co może, by ten piękny potentat daw-

nych ostępów zachował się u nas jaknajdłużej, ale wszystko to nie wyda jeszcze pomyślnych rezultatów, dopóki sami właściciele ziemscy nie zajmą się ochroną tego rzadkiego już u nas ptaka, roztaczając opiekę nad jego gniazdami, bezmyślnie niszczonemi przez wiejskich chłopaków i pozostawiając małe rezerwaty, w których zaniechają wszelkiej gospodarki ludzkiej — nie stworzą odpowiednich dla niego siedlisk. Rezerwaty takie są też bardzo przydatne dla celów rozmnożenia i wszelkiej innej zwierzyny jak np. bekasów, dzikich kaczek, słonek i t. p. A przy dobrych chęciach można zawsze wydzielić choćby kilkuhektarową działkę, zamieszkałą przez te ptaki i zapewnić im pomyślne warunki bytu, nie ponosząc absolutnie żadnych wydatków pieniężnych.

Po odlocie hajstr, można rezerwaty takie opolować i dają one zawsze bardzo piękne rozkłady, bez porównania lepsze, niż rewiry, w których pasło się bydło, kosiło trawę, lub wycinało drzewa. Rozmnażając w swojem łowisku czarne bociany, staniemy się pionierami ochrony przyrody, a piękna ta idea musi mieć zwolennika w każdym polskim myśliwym.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI.

SPRAWOZDANIE SĘDZIÓW

Z PRÓB PSÓW POLOWYCH W WILANOWIE, DN. 24. IX. 1933 R.

Dobrą myśl miało Towarzystwo Hodowli Psów Myśliwskich, urządzając w dniu 24 września próby polowe dla wyżłów użytkowych. Zadanie tych prób, w odróżnieniu od field-trialsów i dotychczasowych prób jesiennych, polegało na tem, że pies miał na nich wykazać nietyle wrodzone cechy i zalety potrzebne dla celów dalszej hodowli, jak przedewszystkiem umiejętność wykorzystania tych cech i zalet dla celów praktycznego polowania. Sposób oceny psów miał być dowolny, przyczem doświadczenie i umiejętność psa w wykorzystaniu swych walorów miały w stosownych wypadkach uzupełniać braki ostrego wiatru, chodów i t. p.

Próby niezmiernie ciekawe i pouczające, mające wykazać do czego można doprowadzić psa, gdy posiada inteligencję i stosowne zalety myśliwskie. Niestety, należy otwarcie powiedzieć, że próby te pod tym względem najzupełniej zawiodły. Właściciele psów najwyraźniej nie zrozumieli o co chodzi. Na próbach tego rodzaju można było oczekiwać starszych, wyrobionych psów, prowadzonych przez myśliwych, lub przez zawodowców-myśliwych, a tymczasem ujrzeliśmy młodzież, prowadzoną przez zawodowych treserów, znających się na tresurze, ale pojęcia nie mających o kierowaniu psem w polu, w toku polowania.

Niemniej, uznając w interesie zarówno myśliwych, jak i hodowców, pilną potrzebę wprowadzenia u nas tego rodzaju prób, należy się szczere uznanie Towarzystwu Hodowli Psów Myśliwskich, że odważyło się urządzić tak pojęte próby i przełamać pierwsze lody.

Należy także wyrazić przekonanie, że następne próby tego rodzaju, po zdobytem doświadczeniu, spotkają się już z większem zrozumieniem.

Licznie zgromadzona publiczność pierwsza dała dowód, przez swe przybycie, zrozumienia ważności sprawy, za co należy się jej szczere uznanie. Dzień był piękny i warunki pracy dobre.

Pierwszy wystąpił Hel, wyżeł niemiecki, gładkowłosy, bronzowo-dropiaty, ur. 24.III.1930 r. (Iwan-Walda z Hallerode). Hodowca: T. Abramowicz. Właściciel: A. Lewandowski, prowadzący: W. Lewandowski. Pies piękny, o bystrem, rozumnem spojrzeniu, przedstawia, dobry materjał użytkowy. Początkowy występ jego należy uznać za udatny. Pies ładnie wystawił i doprowadził do kur. Dalsze jednak jego zachowanie się wykazało, że mener o prowadzeniu go w polu ma bardzo oddalone pojęcie i że oczywiście w tych warunkach nie miał czego psa nauczyć. Mener zupełnie nie umie kierować psem i zaprowadzić go tam, gdzie w oczach wszystkich zapadły kuropatwy. Pies szuka swoim przemysłem, bez widocznego systemu i planu, nie licząc się z obecnością menera, a także nie wykazując potrzebnego doświadczenia myśliwskiego i znajduje w innem zupełnie miejscu kury, które zresztą wystawia dobrze. Na widok tych braków prowadzenia, sędziowie, chcąc ratować reputację nie ponoszącego winy za to, co się dzieje, psa, zaproponowali właścicielowi, aby sam go poprowadził. Niestety, właściciel, nie znający psa, nie mógł się tego podjąć i sędziowie oraz publiczność w dalszym ciągu musieli być świadkami nieudolności menera. Całą pracę swoją nad psem mener ograniczył do tego, że nauczył go twardo wystawiać i spokojnie zachowywać się wobec zwierzyny, jak i postrzałka; komendy w tym kierunku pies nie rozumie, a mener nie umie jej podać. Nie umiał też mener tchnąć w psa myśliwskiego ducha i dać mu należyte wyrobienie, czem niepomiernie utrudnił wykrycie i ocenę walorów psa, które w nim niewątpliwie tkwią. Z tem wszystkiem, przyznawszy za wiatr 6 punktów, za sposób szukania 6 p., za wystawianie 16 p., za dociąganie 6 p., za apel 6 p., za wytrzymanie na strzał 0 p. (pies gorączkuje się po strzale), za respektowanie zajęcy 4 p. (pies nie spotkał się z zającem, wobec czego, w myśl przyjętej zasady, należało uznać, że pies respektuje zające, co tem łatwiej było uczynić, że wobec zrywającej się zwierzyny lotnej zachowuje się zupełnie poprawnie), za zachowanie się przed zrywającą się zwierzyną lotną 8 p., za aportowanie 6 p. — razem 58 punktów, i mając na uwadze niewątpliwe wrodzone walory psa, sędziowie przyznali mu list pochwalny. Czas pracy 38 minut.



„Drop" — ojciec Splendor - Bey'a
wł. Dr. Zakrzewskiego.

Suprise Gem., setter angielski, pies blue belton, ur. 6.IV.1932 (Floks-Surprise Rouge). Hodowca: B. Przychodźko, właściciel: Zygmunt Tarnowski, mener: Żół-

tonosow. I tu mener wykazał nader oddalone pojęcie o praktycznem prowadzeniu psa w polu, co jako zawodowcowi niebardzo uchodzi. Przedewszystkiem zaś tak „zgniótł" psa, że ten utracił zupełnie jakikolwiek cień pewności siebie i swobody. Pies o dość ciężkiej budowie pracuje wyłącznie stępa, wykazuje w zakresie stylu brak zupełny pasji łowieckiej, energji, śmiałości i samodzielności. Nie daje wobec tego zupełnie możności powzięcia jakiegokolwiek sądu o sposobie szukania. Również w tych warunkach nic nie można powiedzieć o ułożeniu i inteligencji psa. Wystawianie dobre, zachowanie przy zerwaniu się zwierzyny i strzale — również. W rezultacie pies musiał być zdjęty bez oceny. Jak się dowiedziano po próbach, pies ma zupełnie dobrze pracować w polu i zapowiadać się jako bardzo dobry, użytkowy materjał. Oto co znaczy nieodpowiedni mener i chęć przeprowadzenia psa na próbach bez błędu, przy pomocy ostrych, w ciągu krótkiego czasu, stosowanych środków! Czas pracy 30 minut.



„Bolmil-Prima" — matka „Splendor-Bey'a
wł. Mgr. A. Brudnickiego.

Silesias Cora, setter irlandzki, suka, ur. 21.X.1931 r. (King Penrib Hela). Właściciel: O. Kajetanowicz, mener: Żółtonosow. Suczki tej widocznie mener nie miał czasu, tak jak poprzedniego psa, złamać i zgnębić. To też wesoło podskakuje ona po polu, wykazując absolutny brak zrozumienia swych zadań i ułożenia. Z tego też powodu zostaje zdjętą bez oceny. Czas pracy 30 minut.

Splendor Bey, pointer, pies biały w czarne łaty ,ur. 13.V.1931 r. (Blackfield Drop - Bolmil Prima). Hodowca: A. Brudnicki,właściciel: W. Wattson, mener: J. Dziekanowski. Z wystąpieniem Splendor Beya inny wiatr powiał po polu. Pies wykazuje duży styl i posiada w wysokim stopniu pasję łowiecką, energję, śmiałość i samodzielność. Pies odrazu, z całą pewnością siebie, bierze się do rzeczy i pięknie wystawia kuropatwy. Potem, skutkiem przejścia przez przeszukiwany teren — kartofle o wysokich łętach — większej ilości osób, omija z powodu zatarcia tropów parę kur, względnie nie umie do nich doprowadzić, wykazując przytem nie dosyć jeszcze wyrobione wiatr i doświadczenie myśliwskie. Potem jednak, wydostawszy się z tłoku, wystawia pięknie kuropatwy raz i drugi, wykazując przytem dobrą stójkę, dobre zachowanie się wobec zwierzyny i po strzale, i wreszcie dobry aport. Wysoce uzdolniony i inteligentny pies, który z nabraniem doświadczenia myśliwskiego i w dobrych rękach jeszcze znacznie poprawi swoją i tak już wysoką klasę. I-sza nagroda. Czas pracy 30 minut. Prowadzenie menera Dziekanowskiego poprawne, wykazujące pilność i sumienność pracy.

Aza, setter angielski, suka blue belton, ur. 13.III1932 r. (Floks — Aza). Hodowca: gen. Wojnarowski, właściciel: Leon Walicki, mener Żółtonosow. Suka absolutnie nie umie wykazywać się niczem, ujawniając brak jakiegokolwiek przygotowania. Zdjęta bez oceny. Zastanawiające jest, że mener Żółtonosow, występujący z trzema psami, na żadnym z nich nie potrafił wykazać swych umiejętności w tresowaniu i ułożeniu psa.

Diana, pointer, suka biała w czarne łaty. Lat 3. (Sheffield Satrap — Arta). Hodowca: inż. H. Knothe, właściciel: Artur Steinhagen, mener: J. Dziekanowski. Suka wykazuje średni styl, dużo dobrych chęci, jednak, wobec małego wyrobienia, pewien brak energji, śmiałości i samodzielności w pracy. Wiatr i ułożenie średnie. Zachowanie przy zerwaniu się zwierzyny i po strzale oraz karność — dobre. Nie aportuje. Z tem wszystkiem, wobec wykazanej pasji łowieckiej, niezłego wiatru, karności, na tle ogólnego małego wyrobienia myśliwskiego, sędziowie uznali za właściwe przyznać jej list pochwalny. Czas pracy 35 minut.

W. GARCZYŃSKI.
M. BIELAWSKI.
J. DYLEWSKI.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

Protokół

posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 31 października 1933 r.

Obradom przewodniczył p. W. Szperling, obecni byli pp.: gen. dyw. K. Fabrycy, J. Skrzypek, Wł. Słonczyński, inż. K. Tołłoczko; sekretarzował J. Bokiewicz.

Porządek dzienny był następujący: Zatwierdzenie protokółu posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 26 października r. b. Reasumpcja powziętych uchwał. Sprawy bieżące. Wnioski.

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 26 października r. b. zatwierdzono bez zmian.

Przyjęto do wiadomości usprawiedliwienie nieobecności na posiedzeniu pp.: Garczyńskiego, Gędziorowskiego, Grabowskiego, Kiltynowicza, Lisowskiego, Tallen-Wilczewskiego i Żukotyńskiego.

Wydział Wykonawczy uchwalił wydawać „Łowca Polskiego" w objętości 20 stron druku, polecając redakcji zamieszczenie wiadomości o tem na wstępie najbliższego numeru.

Wydział Wykonawczy zatwierdził kosztorys wydania „Kalendarza myśliwskiego" na rok 1934. Postanowiono jednocześnie, że w „Kalendarzu" tym zamieszczone być ma prawo łowieckie, a nadto, w kalendarjum, winny być zaznaczone święta prawosławne.

Z końcem roku bieżącego upływa termin ważności legity-

macyj delegatów powiatowych Związku. Wydział Wykonawczy polecił sekretarjatowi przygotowanie nowych legitymacyj.

Wydział Wykonawczy przeznaczył na wystawę łowiecką, urządzaną przez Pomorskie Towarzystwo Łowieckie, w Toruniu, w dniach od 5 do 12 listopada r. b., nagrody w postaci 12 medali (4 złote, 4 srebrne i 4 bronzowe).

W powiecie nowogródzkim organizuje się Powiatowa rada łowiecka i w związku z tem delegat Związku p. J. Stark zwrócił się do Wydziału Wykonawczego o instrukcje. Postanowiono zakomunikować p. Starkowi, że Wydział Wykonawczy opracowywa obecnie nowe zasady organizacyjne i dlatego narazie żadnych konkretnych instrukcyj udzielić mu nie może.

Zaległości Stowarzyszeń Związkowych w opłacie składki członkowskiej sięgają w chwili obecnej sumy zł. 6.584 gr. 50.

Wydział Wykonawczy uchwalił przedstawić Zarządowi Związku, w myśl § 14 statutu, 27 Stowarzyszeń, zalegających w opłacie składki na rzecz Związku za okres roczny, z wnioskiem o wykreślenie ze Związku.

Nadto postanowiono przedstawić Zarządowi Związku wniosek o wykreślenie z listy Stowarzyszeń Związkowych Mińsko-Mazowieckiego Towarzystwa Łowieckiego z powodu likwidacji.

Projekt nowego statutu Związku, opracowany przez p. Dylewskiego, przedstawiony zostanie p. gen. Fabrycemu po przestudjowaniu przez pp. Garczyńskiego i Dylewskiego.

P. gen. Fabrycy wysunął konieczność zorganizowania w najbliższym czasie oddziału Związku w Warszawie.

Postanowiono organizację tego oddziału powierzyć p. Kiltynowiczowi.

Odznaczenie członków Wydz. Wyk. P.Z.S.Ł

(Z.). W dniu 5 listopada r. b. podczas uroczystości św. Huberta, za zasługi na polu łowiectwa dekorowany został przez Pana Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych, Nakoniecznikow-Klukowskiego, złotym Krzyżem Zasługi p. inż. Herman Knothe. konsultant łowiecki przy Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych.

W „Monitorze" z dnia 10 b. m. ogłoszone zostały, między innemi, nadane przez władze naczelne państwa odznaczenia za zasługi na polu łowiectwa. Przewodniczący Wydziału Wykonawczego P. Z. S. Ł., p. Wacław Szperling, odznaczony został Kawalerskim Krzyżem „Polonia Restituta", skarbnik P. Z. S. Ł., p. Józef Skrzypek, srebrnym Krzyzem Zasługi.

Redakcja składa na tem miejscu odznaczonym członkom Zarządu P. Z. S. Ł. z serca płynące gratulacje.

DO PP. DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Jednym z regulaminowych obowiązków pp. Delegatów Powiatowych Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich jest składanie Wydziałowi Wykonawczemu Związku corocznych sprawozdań z działalności, oraz o stanie łowiectwa w powiatach.

Przypominając o tem, Wydział Wykonawczy Związku prosi PP. Delegatów Powiatowych, którzy obowiązku tego dotąd nie wypełnili, o możliwie rychłe nadesłanie sprawozdań.

Sprawozdania te spełniają rolę podwójną: z jednej strony bowiem informują władze Związku o stanie łowiectwa w poszczególnych powiatach, a więc pozwalają na zestawienie całokształtu łowiectwa w Polsce, obrazują jego postęp, uwypuklają braki i potrzeby, wywołując częstokroć wystąpienia władz Związku, zmierzające do podniesienia łowiectwa, a z drugiej strony — przez publikowanie w organie związkowym, „Łowcu Polskim" — stają się świadectwem naszej pracy organizacyjnej i kulturalnej w polskiem społeczeństwie łowieckiem.

Brak danych z niektórych powiatów stwarza luki w całości obrazu łowiectwa polskiego, władzom Związku nie pozwala na należytą ocenę stanu łowiectwa w tych powiatach, a jednocześnie musi poddawać w wątpliwość rezultaty działalności Delegatów Związku, wobec braku wiadomości o ich pracy.

Dlatego też Wydział Wykonawczy Związku, raz jeszcze apeluje do Pp. Delegatów Powiatowych, aby nadesłali roczne sprawozdania z powierzonych ich pieczy powiatów.

W sprawozdaniach tych przedstawić należy ogólną charakterystykę powiatu pod względem łowieckim (obszar, teren, zwierzostan), ilość i obszar zarejestrowanych obwodów łowieckich, liczbę myśliwych, poziom kultury łowieckiej, pracy hodowlanej, stan walki z przestępstwami łowieckiemi, pomijając w powiecie stosunki oraz wyniki pracy organizacyjnej i ewentualne wnioski.

KŁUSOWNICTWO.

(—jb.—). Prasa śląska zamieszcza zatrważające wprost wiadomości o rozwielmożnieniu się kłusownictwa.

W lasach śląskich, jak czytamy w jednym z dzienników, potworzyły się groźne bandy kłusowników, wobec kótrych personel leśny jest bezsilny.

W licznych rewirach gajowi nie mają odwagi iść do lasu w obawie przed grożącą im śmiercią skrytobójczą.

Do pomocy policji wezwano żandarmerję, walka jednak z plagą kłusowniczą jest tem trudniejsza, że ludność miejscowa, obawiając się zemsty ze strony doskonale zorganizowanych band, nie współdziała z władzami policyjnemi, częstokroć nawet utrudniając im zadanie.

Znamy jednak dzielność naszej policji i poziom jej wyszkolenia, przekonani więc jesteśmy, że groźne bandy kłusowników w lasach śląskich wkrótce zostaną zlikwidowane.

(—jb.). W czasie patrolowania terenów łowieckich Towarzystwa Prawidłowego Myśliwstwa w Wiśliczce (pow. Olkusz, woj. kieleckie), w dniu 2 listopada r. b., strażnik łowiecki natknął się na bandę kłusowników, polujących w 8 strzelb z psem na terenie Towarzystwa. Na wezwanie strażnika, aby kłusownicy oddali broń, jeden z nich odpowiedział wystrzałem. Strażnik, w obawie swego życia, użył również broni, raniąc jednego z kłusowników. Wówczas cała banda rzuciła się do ucieczki, unosząc z sobą rannego.

Strażnik łowiecki nie mógł sam jeden gonić ośmiu przestępców, musiał więc poprzestać na zameldowaniu władzom policyjnym, które natychmiast zarządziły śledztwo.

(—jb.—). W dniu 2 listopada r. b. leśniczy Jan Kudak i pomocnik jego Chrząstek spotkali w lesie potulickim (woj. poznańskie) bandę kłusowników, których usiłowali zatrzymać.

Leśniczy Kudak wezwał kłusowników do zatrzymania się, a wówczas jeden z nich strzelił, trafiając Kudaka w piętę. Leśniczowie odpowiedzieli strzałami, poczem kłusownicy zbiegli, przyczem jeden z nich został prawdopodobnie ranny.

Nadmienić trzeba, że leśniczy Kudak od szeregu lat wytrwale i skutecznie zwalcza kłusownictwo, i w swoim czasie za swą działalność na tem polu, pełną poświęcenia i niejednokrotnie z narażeniem życia, — został przez Polski Związek Stowarzyszeń łowieckich, na wniosek Wielkopolskiego Związku Myśliwych, odznaczony medalem zasługi łowieckiej.

ROZMAITOŚCI.

NIEKORZYSTNE DLA EKSPORTU CENY W NIEMCZECH.

Na zasadzie urzędowego sprawozdania ekonomicznego Konsulatu Generalnego Rzplitej Polskiej w Berlinie, nadesłanego władzom centralnym, należy zanotować w związku z rozpoczętym sezonem eksportu zajęcy do Niemiec, których rynek stanowił dla polskich eksporterów zazwyczaj poważny teren zbytu, zwłaszcza z dzielnic zachodnich kraju, że ceny na zające miejscowe obniżyły się w bieżącym roku w Berlinie już w połowie października w hurcie do RMk. 2.70—2.98 za sztuki duże, RMk. 1.70—1.80 za średnie i RMk. 1.20—1.40 za małe.

Pomimo tak niskich cen, nienotowanych tam od trzydziestu lat, podaż zajęcy na berliński rynek jest znaczna i nie odpowiadająca popytowi, wskutek czego zapasy idą do chłodni.

Wprawdzie w ostatniej dekadzie października ceny uległy pewnej zwyżce, jednakże poziom ich (3.40—3.60; 2.00—2.25; 1.20—1.50) nie odpowiada cenom, jakieby powinny osiągnąć zające polskie, ażeby ich eksport nie naraził wywożących na poważne straty.

Jeśli się odliczy od cen powyższych prowizję komisjonera, koszty przewozu, oraz cło podwyższone od 6. 5. 1933 o 100% w stosunku do roku ubiegłego (z 30 na 60 RMk. za 100 kg.), okaże się, że poziom cen na rynku niemieckim nie odpowie zupełnie eksportowi z Polski.

Należy zaznaczyć, że, chociaż dla krajów traktatowych stawka celna wynosi zaledwie czwartą część stawki stosowanej do Polski, to jednakże Węgry, szczególnie wiele eksportujące do Niemiec, wywozu zajęcy w roku bieżącym z powodu złej kalkulacji nie rozpoczęły.

Wynika z tego, że eksport naszych zajęcy na rynek niemiecki nie posiada w bieżącym sezonie najmniejszych widoków powodzenia.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— W dniu 4 listopada r. b. odbyło się w Mnichu (pow. Kutno), u p. Stanisława Grotowskiego, polowanie, urządzone przez p. Tadeusza Abramowicza. Zabito: 262 zające, 6 królików i 39 kuropatw, razem sztuk 307; najwięcej na rozkładzie miał p. Michał Abramowicz, zabijając 39 zajęcy i 4 kuropatwy.

— W dniu 9 listopada r. b. odbyło się w dobrach Willanowskich, pod Warszawą, w leśnictwie Kabaty, polowanie na zające i bażanty. W 14 strzelb zabito: 232 zające, 48 bażantów i 4 króliki. Najwięcej na pokocie miał Dostojny gość hr. hr. Branickich Pan Prezydent Rzp., Prof. Ignacy Mościcki (37 zajęcy i 9 bażantów).

S. Z.

W dniu 11 listopada b. r. odbyło się polowanie w lasach dóbr Skrzydłów pp. Aleksandrostwa Danilczuków. W 24 zakładach leśnych w 7 strzelb upolowano: 280 zajęcy, 6 bażantów, 18 kuropatw i 2 króliki. Rezultat mógłby być jeszcze bogatszy, gdyby nie okoliczność, że w ciągu dwóch dni poprzednich padał obfity deszcz, wskutek czego trawy w zagajnikach i podszycie na lesie dużym były mokre. Część zwierzyny, a przedewszystkiem kuropatwy, wywędrowała w pole. Polowanie prowadził starszy gospodarz. Największy indywidualny rozkład jednego z myśliwych wynosił 67 sztuk. Uczestnicy rozjechali się z zachwytem dla pracy hodowlanej p. Danilczuka, mogącego być dumnym z osiągniętych wyników.

Dnia 11 listopada r. b. odbyło się w Sekursku (pow. Radomsko), maj. p. Jana Biedrzyckiego leśne polowanie. Ubito sztuk 1302, w tem 310 zajęcy, 412 bażantów, 547 królików, 33 kuropatwy. W polowaniu brali udział pp.: Henryk hr. Potocki, Stefan Siemieński, Paweł hr. Potocki, Konrad Niemojewski, Andrzej hr. Morstin, Władysław hr. Tarnowski, Hieronim Siemieński, Władysław hr. Potocki, Stefan Steinhagen, Stanisław hr. Potocki. Najwięcej na rozkładzie, sztuk 218, miał Paweł hr. Potocki. Tak dobrze w kołach myśliwych znane polowanie w Sekursku i w roku bieżącym pokazało, jakie rezultaty można osiągnąć za pomocą odpowiedniej opieki nad terenem łowieckim.

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, Z. Kleszczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, Wł. Korsak, St. Leski, E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

ŚCISŁY KOMITET REDAKCYJNY: Jerzy Dylewski, Walenty Garczyński i Władysław Zabiełło.

Redaktor odpowiedzialny: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. Nr. 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa.